Nr. 3. Lwów, dnia 1. Marca 1892. Rok XV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs. 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z ŁOWIECKIEJ PRZESZŁOŚCI

napisał

Władysław Spausta

I.

Tur i żubr.

(Ciąg dalszy).

Niemieccy pisarze odróżniali najwyraźniej w wiekach średnich żubra od tura. Prawdopodobnie już w VI i VII wieku nie wszędzie w Niemczech był tur znanym, bo *leges Alemanorum* mówią tylko o żubrze, podczas gdy autor Nibelungów odróżnia w 12-stem stuleciu dwa te zwierzęta, a wyliczając zdobycz Siegfrieda w Wasgau mówi:

Darnach schlug er schiere einen Wiesent und einen Elch,

Starker Ure viere...

Lukas Dawid podaje, że książe Otto brunszwicki darował w r. 1240 „braciom" tury i żubry *(Auerochsen und Visonten)* a Cramer opowiada o księciu Wratysławie IV pomorskim, iż tenże zabił w r. 1364 na Pomorzu żubra *(Wysant)*, który większym był od tura *(grösser wie ein Auerochs)*.

Konrad Gesner, ów niemiecki Pliniusz 16-go wieku, trochę później niż Herberstein, najwyraźniej podnosi różnicę dwóch tych zwierząt, jednak widocznie miał on opisy Herbersteina pod ręką i z nich korzystał, podobnie jak Hartknoch w opisie starych Prus.

Słowa Herbersteina, dotyczące opisu tura, niezliczone razy powtarzają rozmaici autorowie: „ury są prawdziwymi dzikim wołami i nie różnią się od swojskiego bydła tylko tem, że są nieodmiennie maści czarnej, z białą pręgą wzdłuż grzbietu biegnącą. Parują się bez trudności z bydłem, do czego żubra żadną miarą nakłonić nie można, nie znachodzą się tylko na Mazowszu".

Kto się dobrze przypatrzył bydłu naszych włościan w okolicach, gdzie jeszcze nie zdołała zapłynąć krew z rozmaitych stron świata importowanego bydła, temu uda się częstokroć dostrzedz, iż nawet co do maści wyłazi z wielu okazów kawałek tura, a bydło maści ciemnej, prawie czarnej, z jasną, płową przez grzbiet pręgą, należy do dość zwykłych cech bydła włościańskiego w owych okolicach. Zadawalnia się ono byle czem, i jakkolwiek pod względem mleczności

(t. j. wody w mleku) nie bardzo się odznacza, natomiast jest doskonałe do opasu i pracy.

W obec dość dokładnych różnic, jakimi średnie wieki, patrząc na dwa te wspaniałe okazy fauny, je nacechowały, zdumieć się trzeba, jakim sposobem już w 17-tym wieku poczęto ogólnie niemal mieszać nazwy, a błędy te utrzymały się aż po dziś dzień w wielkiej części i to nietylko w piśmiennictwie niefachowem, ale nawet w specyalnej literaturze. Co więcej, około r. 1840, niektórzy uczeni nasi starali się zidentyfikować znaczenie nazw żubra i tura.

Znany nasz przyrodnik a specyalnie zoolog, Feliks Jarocki, autor bardzo wielu dzieł przyrodniczych a osobliwie obszernej zoologii, w dziale „o puszczy Białowiejskiej i celniejszych w niej zwierzętach“ twierdzi nawiasowo, iż żubr i tur jedno i to samo zwierze oznaczają, a to samo twierdzenie powtarza w niemieckiej swej rozprawie *(Żubr oder der lithauische Auerochs)*, czytanej na Hamburskiem zgromadzeniu uczonych europejskich w r. 1830, gdzie nietylko obrany został prezesem anatomów europejskich, lecz cesarz Mikołaj I za powyższe dzieła obdarował go dwoma brylantowymi pierścieniami i 1200 rublami a w dodatku jeszcze orderem św. Stanisława.

Wkrótce, bo w r. 1837, wyszło dzieło Puscha, intendenta mennicy warszawskiej „Polens Paläontologie“, w którem uczony autor kruszy również kopię w tym samym celu, i trzeba mu przyznać, że posuwa się do ostatecznych granic cierpliwości i wytrwałości w polemice z p. Baer'em, który umieścił w pamiętnikach akademii petersburgskiej rozprawę swą: *Nochmalige Untersuchung der Frage, ob in Europa in historischen Zeiten zwei Arten von wilden Stieren lebten* — rozprawę, którą czytał na posiedzeniu tejże akademii. W odpowiedzi na to, zebrał Pusch wszystko, co tylko o zwierzętach tych z dawniejszych dzieł zebrać się dało i wydał znów: *Neue Beiträge zur Erläuterung und endlicher Erledigung der Frage über Tur und Zubr* r. 1840, sądząc, że ubije tem już raz na zawsze sporną tę kwestyę. Jarocki zaś *(Przyjaciel ludu* r. 1840 str. 247) wyraził wdzięczność p. Baerowi, bo gdyby nie jego polemika, kwestya ta nie byłaby rozwiązana olbrzymią pracą p. Puscha.

Na nic się zatem nie przydały wszelkie świadectwa z dawnych pochodzące czasów; doktrynerya zaślepiła ludzi najszlachetniej myślących i wywalczyła błąd, który odbija się aż po chwilę obecną. Między innymi, (bo tylko niektóre mogę tu naprowadzić), pojawia się błąd ten u W. Jastrzębowskiego w „Historyi naturalnej ziemiańskiej“ str. 576 wyd. w r. 1876, i w dziełach myśliwskich, a mianowicie w „Myślistwie w Polsce i Litwie“ Waler. Kurowskiego 1865 Poznań, gdzie żubr albo tur *Taurus urus* się zowie.

Zagraniczni przyrodnicy wcześniej z tego obłędu się wydostali, jakkolwiek niejasne były pojęcia największych przyrodników swego czasu, Lineusza i Buffona. Wielki Buffon w swej *Histoire naturelle* T. XXIII 1766 p. 105 mówi: *Eufin le bison ne differe de l'aurochs, que par des varietées accidentelles, et par consequent ils sont tous les deux de la meme espèce que le boef domestique.*

W słynnego Blumenbacha *Historia naturalis* w 9 wyd. 1825 znajdujemy: *der Auerochse, urus, bonasus und Bizon der alten Welth* — zatem zupełne zidentifikowanie. Dopiero w znakomitem dziele Brehma znajduje się określona różnica, a umieszczony w tej zoologii żubr nazywa się tam „Wizent“, „Bonassus“. Mianem tem nazywał to zwierzę jeszcze Aristoteles, znając je doskonale, bo je bardzo dokładnie opisał, co było zresztą bardzo łatwem, gdyż żubr za czasów greckiego naturalisty znachodził się w Macedonii, gdzie go lud „Monopas“ nazywał. Niemniej dokładne opisy żubra pochodzą od Calpurniusa z r. 282 naszej ery.

W obec ciągle powtarzającego się pomieszania nazw, jakie u naszych pisarzy spotykamy, trudno jest dziś choć w przybliżeniu utworzyć sobie pojęcie o geograficznem i topograficznem rozłożeniu siedlisk tych obu zwierząt w rozmaitych dzielnicach naszej ziemi. To pewna jednak, iż ów „zwierz nasz“, zwierz królewski, jak zwierzęta te monarchowie nasi nazywali, już u schyłku 15-go wieku bardzo się przerzedził. Z ogólnego rzutu oka na to wszystko, co z pisma i tradycyi o zwierzętach tych wiemy, zdaje się, iż tur przeważnie zamieszkiwał knieje Mazowieckie, a stąd rozprzestrzenił swe siedliska po innych, przeważnie na południe położonych dzielnicach, żubr zaś trzymał się więcej puszcz północnych w Litwie, Prusiech i Żmudzi i w tem zda się leżeć przyczyna twierdzenia Jarockiego, iż jedno i to samo zwierze Polacy turem a Litwini żubrem nazywali, podczas gdy prawdopodobnie na Litwie częściej można było słyszeć nazwę żubra jako zwierza częstszego, gdy przeciwnie w Polsce miejscowy tur był częściej na języku.

To, co kroniki opowiadają o okolicach Sokołowa (pow. Przeworski) i o ogromnych kniejach tamże, ściąga się niezawodnie do tura *(Bos primigenius)*.

Zaginął już bardzo dawno tur w okolicach Rozwadowa w Galicyi, (Baliński Star. polska II 470) lecz przypomina go wieś Turbia przy Rozwadowie, podobnie jak w ziemi przemyskiej koło wspomnianego Sokołowa istnieje wieś Turza o $^1/_2$ mili od miasteczka.

W tych stronach polował Jagiełło w r. 1410 na tury, a mnóstwo musiało paść tu zwierza, jeżeli powiadają dzieje, iż łowy te, jakoteż łowy w r. 1409 w puszczach Grodzieńskich wspólnie z Witowdem przedsiębrane, dostarczyły mięsa na wyprawę krzyżacką. „Ogromną ilość solonego mięsa“, powiadają kronikarze, wysyłano stąd na zaprowiantowanie hufców wojennych wyprawy, która się skończyła zupełnem rozgromem wojsk krzyżackich pod Grunwaldem. Król sam ze swym rycerskim orszakiem i służbą wyprawiał harce łowieckie; ten sam sajdak, ta sama włócznia, która nieco później grzęzła w piersiach najeźdźców ojczyzny, odbywały w knie i ogniową próbę doświadczenia i hartowały się w istnych bitwach leśnych na grubym zwierzu puszczy. Cała ta karta naszej świetnej łowieckiej przeszłości wygląda niby wyjęta z bajecznej starożytności bohaterskiej.

W rozmaitych ziemiach dawnej Rzeczypospolitej powtarzają się często nazwy, w których tur jest źródłem. Turze, Turzysk, Turya, Turów, Turowla, Tursko, Turzec powtarzają się jako nazwy miasteczek, wsi i rzek; niemniej w przezwiskach licznych rodów spotykamy ten sam źródłosłów niemal we wszystkich dzielnicach dawnej Polski. Ów straszny tur lasów polskich, którym przodkowie nasi według przysłowia „tura mięsopustnego dzieci się strachają“, niegdyś małe pokolenia straszyli, ostał się więc jeszcze po dziśdzień w nazwach rodzin i w topograficznej nomenklaturze kraju, a wszystko to udowadnia, iż zwierz ten niegdyś musiał być bardzo pospolitym i wszędzie znanym.

Kogo nie przekonały przytoczone tu źródła, iż tur jako odmienny zwierz od żubra istniał u nas w późnej epoce historycznej, ten niech zaglądnie do skarbnicy tej, jaką jest nasz prastary język łowiecki, niech wsłucha się dobrze a usłyszy, że w ciemnych puszczach Mazowieckiej krainy „jęczy“ gładki tur, podczas gdy „beczeniem“ mu odpowiada z głębi Grodzieńskich kniei brodaty a nieprzyjaźny żubr

Różnice te w nazwach głosów owych zwierząt są prastare, a użyte są w „Myśliwcu“ Bielawskiego 1595. Wprawdzie i tu zarzucić ktoś może, iż nazwania rozmaite głosów mogą być prowincyonalizmami mowy łowieckiej, jakich się w niej bardzo wiele znachodzi, tak, iż łowiec jednej dzielnicy kraju nie zna wyrazów dzielnic innych, jednak nie zapominajmy, że wyrazy te przeszły w literaturę ówczesną, pojawiają się w pracach piśmienniczych autorów owej epoki, autorów, którzy przestrzegali utrzymujących zwierzyńce, aby żubra i tura nie mieszczono w jednych i tych samych oddziałach.

Z podań dziejopisów, niemniej z licznych opisów łowów królewskich, nie podobna wywnioskować, jakie zwierzę z obu w mowie będących miano na myśli w poszczególnych razach, są jednak o tyle ważne te podania, iż powziąć z nich możemy niejakie wyobrażenie, w których dzielnicach zwierzęta te najobficiej się znajdowały i w jakim mniej więcej porządku zatracały się z biegiem czasu.

Naturalnie, że wszelkie podania, począwszy od wieku 17-go t. j. od chwili, gdy dziki tur zaginął, odnoszą się do żubrów, jakkolwiek niepodobna stanowczo odpowiedzieć, czy owa turzyca z r. 1610 w puszczy Jaktorowskiej była rzeczywiście ostatnią na ziemi Mazowieckiej. To pewna, że tur dziki już w 15-tym wieku nie mógł się godzić z posuwającem się coraz dalej zaludnianiem puszcz, ściągał się w coraz to ciaśniejsze koła, ba, i tu nawet wkrótce ten groźny konkurent kultury, potrzebujący do swego wyżywienia ogromnych obszarów, wyzwanym został do ostatecznej eksterminacyjnej walki z człowiekiem.

Udomowić tura albo go wygubić — oto co wypisał postęp na swym sztandarze, a potędze tej żadne zwierzę na długo oprzeć się nie może. Stąd w kniejach, w których długo jeszcze żyje inny zwierz potężny, zanika tur, pomimo ochrony, jaką nad nim rozciąga korona, i zbliża się jego koniec. Przywileje królewskie dla gmin, rozsiadłych wśród puszcz przez tura zamieszkałych, jakby równoważnik za szkody, jakie zwierz ten mieszkańcom wyrządzał, ostre edykta ochrony, zdołały chyba tylko nieco przydłużyć istnienie tego zwierza, sztuką już tylko w 16-ym wieku podtrzymywanego.

Gdy tur dziki zaczął się już wyradzać na coraz skąpszym obszarze rodzimym, wpływem potężnym człowieka, już się wcieliła jego krew w ustrój zwierzęcia, które w zmiennych i ręką ludzką kierowanych warunkach, rozradzało się na pożytek ogółu ludzkości.

Inaczej miała się rzecz z żubrem. Zwierz ten w żaden sposób udomowić się nie dał, a nie łącząc się płciowo z bydłem, ulegał w skutek przerzedzania puszcz, zmiany klimatu, ciągłego niepokojenia, powolnemu wytępieniu. Niezawodnie też i temu największemu zwierzęciu naszej części świata wybije niezadługo godzina zagłady, a najwięksi mocarze świata chyba tylko nieco przydłużyć zdołają ów termin, który przyroda w organizmie zwierzęcia i w warunkach bytowych zapisała.

Ciekawe spostrzeżenia co do zachowania się żubrów w niewoli poczynił jeden z pierwszych. Dymitr Dolmatów, inspektor lasów gubernii grodzieńskiej, podając je do wiadomości publicznej w czasopiśmie *„Annals and magazine of natural history“* w r. 1849. Wprawdzie spostrzeżenia te są już dziś po upływie lat czterdziestu przedawnione, bo mamy pod tym względem materyał nowy i doświadczenia, zbierane w ogrodach zoologicznych, w których żubry utrzymują, są one jednak ważnymi o tyle, iż udowadniają już w pierwszych próbach dziką i z trudnością wielką tylko do pewnego stopnia ugłaskać się dającą naturę żubra. Po opisie zachowania się żubrów, złowionych na rozkaz cara Mikołaja dla ogrodu zoologicznego w Londynie, niespodziewaną wcale wyrzeka Dolmatów opinię, iż trudy około oswojenia żubrów do pomyślnego celu doprowadzić mogą, opinię, której zupełnie nie usprawiedliwia opisanie zachowania się żubrów w niewoli.

U wielu gatunków zwierząt dzikich ułaskawienie napotyka w indywidualności przeszkody nie do przezwyciężenia, dlatego też są w tym kierunku najrozmaitsze zdania; jeżeli jednak o jakim gatunku ogólna opinia mówi, że jest dzikim i urąga wszelkim w kierunku ułaskawienia pracom — to z pewnością gatunek ten do ułaskawienia się nie nadaje, pomimo, iż pojedyncze wypadki, wyjątki, zapisane jako rzadkości w dziejach, możliwość ułaskawienia zdają się wykazywać. Skrzętnie pochwycone i potomności podane wypadki ułaskawienia żubrów — nawet do pociągu — pomimo, iż zbadaćby jeszcze lepiej należało ich autentyczność, nie udowadniają bynajmniej rzeczy; indywidualne wyjątki w jednym i tym samym gatunku zdarzają się zawsze, a co do mnie, to właśnie owe pojedyncze i niepewne wiadomości udowadniają tem bardziej niemożliwość ułaskawienia żubra do celów kulturnych.

Człowiek, który potrafił swym rozumem i sprytem wprzągnąć największe kolosy fauny w rydwan kultury, niezawodnie byłby potrafił wyzyskać i kolosalną siłę mechaniczną tego największego zwierza Europy, a jednak tego nie uczynił, i do krajów, które ongi zamieszkiwały całe stada żubrów, wdarł się z dalekich Indyi bawół, do dziś dnia utrzymując się tam w licznych stadach jako zwierzę użytkowe.

Nie do żubra zapewne stosowały się niegdyś słowa wielkiego Buffona: „Nieznaną jest rzeczą, ile przyroda zdziałać może, i jaką potęgę człowiek nad nią wywierać zdolny. Nie używamy jeszcze skarbów wszelkich, które nam ona podaje. Bogactwo jej jest daleko większem, niż to sobie wyobrazić możemy; są tam jeszcze w rezerwie gatunki, powołane do oddawania tych usług ludzkości“.

W chwili, kiedy po kniejach naszych odbywały się wspaniałe łowy na tury i żubry, należały te zwierzęta w Niemczech do nadzwyczajnych rzadkości, a w epoce Jagiellonów już były wygubione, tak, iż Jagiełło, posyłając cesarzowi Zygmuntowi ubitego w puszczy Grodzieńskiej żubra, (Kodeks dyplom. Litw. Raczyński) w podziwienie wprowadził orszak łowiecki cesarza.

W Saksonii wyginął zwierz ten jeszcze w dziewiątym wieku, w Szwajcaryi w dziesiątym, chociaż długo tam jeszcze używano i w wielkiem trzymano poszanowaniu trąby z rogów żubrów i turów, a dźwięki tychże zwoływały nieraz po górach rycerzy wolności w kantonach Uri i Unterwalden (*Klaudyan in Rufinum II. c. 57)*, odmienne nieco od tych, jakich używano u nas, w średnich wiekach do wytrąbiania hejnałów biesiadnych, o jakich wspomina Contarini, poseł w 1474 r. na dworze Kazimierza Jagiellończyka.

W Czechach spotykamy w rękopisie królodworskim, w „Ludisza i Lubor“ wzmiankę, iż Zdzisław miał za herb tura, ponieważ jeden z jego przodków miał zabić tego zwierza, co wskazuje, iż — jeżeli uznajemy podawaną w wątpliwość autentyczność tego poematu, który zdaje się w 13 wieku powstał — zwierzęta te w Czechach bardzo wcześnie wyginęły.

To samo musiało mieć miejsce na zachodnich naszego plemienia kresach, gdzie od wieków wrzała walka rasowa Niemców ze Słowiańszczyzną. Podobnie jak ongi ze starej

Germanii, owego ciągłego boru i puszczy, pierzchał zwierz dziki przed chrzęstem zbroi rzymskich wojowników — jak zmieniała się przyroda tego dziewiczego kraju, gdy orły światowładnego państwa przeleciały przez lodowate Alp łańcuchy — podobnie z zachodnich puszcz naszych uciekał na wschód zwierz dziki, wypłoszony wrzawą wojenną i ciężkim krokiem w żelazo zakutych najezdniczych hufców.

Znikł ongi renifer z Germanii, o którym jeszcze wspomina Cezar, a Gaston Phöbus każe go jeszcze w XIV. wieku szukać w górach Pyrenejskich (?) — wyniósł się tur i żubr w głąb kraju, uległszy zresztą zatracie na kresach, gdy Germanin jął napadać spokojne plemiona słowiańskie w ich puszczach, a sprzykrzywszy sobie błotne knieje naszej ojczyzny, gdy wolne było dzikie plądrowanie po świecie, do lepszych ziem pociągnął.

Bo puszczą jeszcze była ta ziemia, gdy w obronie całej Słowiańszczyzny stawiły hufce Bolesławowe opór dalszemu najazdowi obcego szczepu, i gdy — jak to ze żmudnych bardzo dochodzeń wypływa — młodziutka ta Polska Chrobrego zaledwie 175.000 głów całej ludności posiadała (Piekosiński). I długoby jeszcze kraj ten ze szczupłą swą ludnością pozostawał puszczą, gdyby Piastowie, na wzór swych sąsiadów, nie urządzali wypraw wojennych w ziemie nad Bałtykiem położone, w celu uprowadzania jeńców do kolonizowania ziem tych, tak słabo zaludnionych. Pozyskanie ludzi miały zatem na celu wyprawy Bolesława Krzywoustego na Pomorze (Smolka, Mieszko Stary), a gęsta ludność na kresach, jakoteż punkta ochronne, miały postawić raz na zawsze tamę najazdom z zachodu.

W stosunkach takich nie było tu pola dla żubra i tura; to też w epoce Jagiellońskiej, skąd częstsze już o nich dochodzą nas wiadomości, niemniej w epoce późniejszych już Piastów na Mazowszu, spotykamy te zwierzęta w środkowym pasie kraju, na stoku bowiem wschodnio-południowym, Czarnomorskim, uledz one musiały jeszcze dawniej zniszczeniu, podczas przechodów azyatyckich ludów, które tu dorywczo gospodarując, prawdopodobnie i zewnętrzną postać tego kraju zmieniły.

Doliczmy dalej zmiany, wywołane przyjęciem chrześcijaństwa. Zelotyzm nowej wiary włożył najpierw w ręce koronowanych niszczącą gaje święte siekierę. Wycinał święte przybytki pogańskich bogów Mieczysław, Włodzimierz, Jagiełło, a cała armia mnichów, sprowadzonych do kraju, by nieść w odległe puszcze światło wiary chrześcijańskiej, starała się wszelkimi sposobami zniszczyć przedmiot, z którym wiązały się wspomnienia pogańskiej przeszłości. Wśród puszcz powstawały osady klasztorne, mnichy z dalekiego zachodu sprowadzani zmieniali kulturę kraju już w XI. wieku, a obok tych osad mniszych, gdzie zakwitała na dobre kultura rolna, sadowili się w późniejszych wiekach najrozmaitszego rodzaju koloniści i jeńcy wojenni.

Aż do 14-go wieku trwała owa kolonizacya, padały niebotyczne lasy, a dochody państwa pomnażały czynsze przez kolonistów opłacane; statut wiślicki ułatwił owe kolonizacye, zwalniając nowych osadników na lat 6 od dziesięciny, a na lat 12 od wszelkich danin. I niemal w 80 lat później, gdy widocznie korczowanie lasów nie szło tak szybkiem tempem, jak tego sobie królowie życzyli, postanowił Władysław Jagiełło w 1423 r., iż kolonista dopóty z obranej osady ustąpić nie może, póki jej w zupełności z lasu nie oczyści. Prawdopodobnie wywarło to skutek znakomity, gdyż coraz to gęściej występujące osady przedzierały łańcuch niezmiernych puszcz, a zwierz gruby znalazł już utrudnione warunki istnienia, nie mogąc swobodnie poruszać się, gdyż mu drogę przegradzała kultura człowieka.

To też w końcu 15-go i w 16-tym wieku, obok pojawiających się skarg na niszczenie lasów, raptownie zatraca się i zwierz gruby w puszczach, w których go niegdyś było podostatkiem. Epoka istnych epopei łowieckich, do których pola dostarczały niezliczone i niezmierne puszcze całego niemal kraju za Władysława Jagiełły, raptownej uległa przemianie, a zdobycie Gdańska i otwarcie handlu morskiego nadało kulturze rolnej wysokie znaczenie, w skutek czego i szlachta na wielką skalę rozpoczęła korczunki lasów. A musiało tam iść raźnie, i z wrodzoną krwi polskiej porywczością, skoro w 16-tym wieku śpiewak czarnoleski wkłada takie słowa swemu satyrowi:

Gdzie spojrzę, wszędzie rąbią: abo buk do huty,
Abo sosnią na smołę, abo dąb na szkuty;
I muszę ja podobno przez ludzie łakome,
Opuściwszy jaskinie i góry świadome,
Szukać sobie na starość innego mieszkania,
Gdzieby w ludziach nie było takiego starania
O te biedne pieniądze: wszak i drew po chwili
Nie najdą, żeby sobie izbę upalili.
Próżna to, niech mi, wierę, jako kto chce łaje,
Nie masz dziś w Polsce jedno kupcy a rataje.
To najwiętsze misterstwo kto do Brzegu z woły,
A do Gdańska wie drogę z żytem a z popioły...

Zdala od rzek, które były jedynymi arteryami przewozowymi owych czasów, li tylko popioły do wyrobu potażu użytkowano z lasów; w wielkich puszczach pozakładali też swe siedziby niszczyciele lasów, a nazwy owych zakładów, owe „budy“ t. j. budynki, gdzie potaż wyrabiano oraz „majdany“, pozostałe do dnia dzisiejszego i służące za nazwy ludnym obecnie wsiom, świadczą najlepiej o istnieniu na wielką skalę owego przemysłu, niszczącego w tak straszny sposób lasy. Cały obszar ziem polskich zasiany jest Majdanami. Majdany stare, górne, średnie, Budy, Budziska, Budyny, Budki itp. A ileż to owych rozmaitych „hut“, w których zgorzały wiekowe zasoby owych puszcz sarmackich; są tam: Huty komorowskie, nowe, pieniackie, połonieckie, rożanieckie, zielone, Hutory, Huciska nienadowskie, oleskie, turzańskie, jawornickie i wiele innych.

Pod wpływem czarodziejskim „tego biednego pieniądza“ zmieniała się tedy szata ziem polskich, czerwone złote pobrzękiwały w kalecie pańskiej, wzrastał zbytek, gdy na wypoczętych ziemiach wykorczowanych puszcz rodziło się zboże karmiące „głodnych za granicą“. Produkcya pszenicy wzmogła się w porównaniu do roku 1460 w trójnasób (Felix Łojko) już w połowie 16-go wieku.

Pod wpływem tych korzystnych konjunktur, jakie podawał spław wodny do Gdańska, zniszczenie lasów byłoby dosięgło niezawodnie jeszcze większych rozmiarów, gdyby nie okoliczności, które stawiły niejaką przeszkodę w tym kierunku. Oto wielkie obszary puszcz i lasów stanowiły własność korony, w których bardzo konserwatywną prowadzono gospodarkę, bodaj czy nie wyłącznie tylko dla grubego zwierza, który we wielkich tych obszarych znajdował jeszcze spokojne stanowiska, zwłaszcza, że niemal wszyscy nasi monarchowie, mniej lub więcej, chętnie łowiectwem się zajmowali. Z tych samych względów utrzymywali lasy i magnaci, tak, iż owe lasy (oprócz okolic górskich), które w resztkach przetrwały do naszych czasów, są po największej części szczątkami niegdyś dóbr koronnych lub wielkich latyfundyów

magnackich. Krom tego polskie bartnictwo, niegdyś źródło znacznych dochodów, mające swą siedzibę w lasach, a strzeżone prawem, przyczyniło się niemało do utrzymania lasów. Statut litewski w rozdziale XIII. art. III. powiada: Nie wolno jest korczującym las, cudze barcie niszczyć, również na polu stojące drzewo bartne nie można blisko podorać, aby nie uschło.

Ta zatem, dla innych także celów obmyślana obrona puszcz, wychodziła na dobre grubemu zwierzu i zostawiała mu przecież tu i owdzie większe obszary lasów, gdzie mógł mieć spokojniejsze ostoje.

Wiemy już jakim prawdopodobnym mógł uledz losom tur lasów mazowieckich; żubr zaś, ten zwierz srogi, nieznoszący jarzma niewoli, ukrywał się w głębi resztek puszczy, a zaczepiony stawał się strasznym napastnikiem, zaświeciwszy przedtem z podełba złowrogo jak pochodnia (po litewsku Ziburis=pochodnia) ślepiami i prując rogiem i racicą ziemię niby radłem (Zuobris=radło).

W chwili, gdy mocno przerzedzony już tur odświeżał krew bydła osad leśnych na Mazowszu i w Sandomierskiem, pomykały stada żubrów, spłoszone widokiem krwi, jaka się podówczas lała nad brzegami Niemna i Wilii, w głębsze i niedostępniejsze ostępy rodzimej kniei, tam, gdzie i Krywe-Krywejto chował swe bogi przed mściwem okiem rycerzy krzyża i gdzie z orlego gniazda wyjęte niemowlę wyrosło na mądrego Gedymina doradzcę. (C. d. n.)

KŁUSOWNIK.

Toczyła się żwawa rozmowa o kłusownictwie.

— Doprawdy! — zawołał młody p. Kajetan, rzucają z pasyą ciepłe rękawice na stół — że nie warto się dziś myśliwstwem zajmować! Wywoź koniczynę do tryzubków, urządzaj lizawki, zakładaj remizy, każ strzelać koty, psy, jastrzębie i sroki, przestrzegaj czasu ochrony jak dziesięciorga przykazań bożych — na co się to wszystko przydało? Jednej i drugiej nocy księżycowej pójdzie ci kłusownik do kniei, ponastawia siłka, siekańcem do siut łupnie, wynajdzie gniazda kuropatw, podloty z szuwarów powybiera i koniec twych zabiegów! Ot, i w tej chwili przyniósł leśny siutę, której kłusownicy przestraszeni odbiegli. Wszystkie cztery cewki miała siekańcem pogruchotane, trzeba ją było dobić. Łajdaki! Po takim głębokim śniegu, gdzie biedna koza po brzuch zapada i umykać nie może, gonią za nią i mordują...

— Wszystko to idzie z ogólnej niereligijności — rzekł sentencyonalnie ksiądz proboszcz, kręcąc palcami młynka na brzuchu — z ogólnego upadku obyczajów. Gdyby Kościół nie był dziś krępowany w wywieraniu swego wpływu, gdyby nie doznawał przeszkody w bezbożnych postanowieniach ustaw, nie liczących się z jego powagą, umiałby poskromić wykroczenia przeciw moralności, zdołałby natchnąć religijnem poczuciem obowiązku, podniósłby moralność chrześcijańską, a wtedy i kłusownictwo, jako szkaradny zamach na cudzą własność, zostałoby wykorzenione...

— Aha! natychmiast! — burknął dość rubasznie rotmistrz, zapalając stambułkę od płomienia świecy. — A wiesz Jegomość, Mociumdzieju, gdzie najbardziej kłusownictwo kwitnie? W krajach alpejskich, Mociumdzieju, gdzie lud najpobożniejszy. Tam nawet kłusownik, Mociumdzieju, nie puszcza się się na rozdobędę, póki się nie odda w opiekę jakiemu świętemu. Zapali mu świeczkę, Mociumdzieju, i z najspokojniejszem sumieniem idzie na jelenie lub kozice. Kłusownik, Mociumdzieju, nie ma się wcale za złodzieja, on się czuje bohaterem, który idzie walczyć z naturą, przebiegłością i odwagą pokonywać ostrożność i przebiegłość zwierza. Jak dla innych, Mociumdzieju, tak i dla niego stworzył Pan Bóg sarny, kozice, jelenie, szaraki, i on idzie brać część swoją.

— To też cała sztuka w tem — rzekł cieniutkim głosem pan kasyer, patrząc z ukosa na sędziego — ażeby bronić swej własności i nie dać jej naruszyć, że tak powiem. Niech myśliwy trzyma swą zwierzynę w lesie tak, jak ja pieniądze w kasie, a będzie pewny swego. Bo u nas, że tak powiem, nie ma się co oglądać na ustawy i na władze. Wszystko na papierze, że tak powiem..... na papierze. Śliczne przepisy karne, ale się nikt na nie nie ogląda. Robisz, co ci się podoba, bo paragraf daleko... na papierze, i nim kłusownik dostanie się do kozy, to może w całym powiecie, że tak powiem, zwierzynę powybijać.

Odczuł tę przymówkę pan sędzia i obruszył się nieco.

— Sąd nie żandarm, mój panie! — odezwał się rezolutnie. — Kodeks nie może chodzić po lesie i łapać kłusownika gdy sarnę morduje. Ale łapcie kłusowników i dajcie mi ich tutaj! (tu pan sędzia zrobił gest, jak gdyby miał całą kopę inkwizytów przed sobą), dajcie mi ich tutaj! a pójdą do ciupy i przez kilka miesięcy światła bożego oglądać nie będą. A pilnujcie także waszego starosty, żeby zanadto z chłopami nie politykował, bo to polityk, i żandarmi dlatego przez palce patrzą, a zresztą trzymajcie porządną straż leśną, przysięgłą, niech łapią, i dajcie mi ich tutaj!.... (Pan sędzia miał przytem minę tak groźną, jak gdyby wszystkim kłusownikom na świecie chciał głowy poucinać).

— Straż leśną! — zawołał z goryczą p. Kajetan. — Czy pan sędzia myślisz, że ten Kuba lub Bartek, co chodzi z pasem i blaszką na piersi, zrobi co naprawdę temu Jurkowi lub Frankowi, co się w nocy na zwierzynę zasiada? Ot, dla własnej obrony weźmie tam czasem jaką czapczynę, albo kawałek sznurkami powiązanej strzelby i koniec na tem. On z reguły nic nigdy dokładnie nie widzi i niczego nie zaprzysięgnie. Trochę się boi, a trochę pobłaża. Wreszcie znają się jak łyse kobyły na jarmarku; czasem przycupną, czasem sprawę w karczmie zapiją i kłusownictwo jak było tak jest i będzie.

— Bo jabym inaczej się aranżował — rzekł elegancki p. Alfons, poprawiając monokla — *Moi j'aranjerais l'affaire comme le prince Hohenlohe*, tam gdzieś w Tatrach, koło tego rybiego czy morskiego oka. Zaangażowałbym sobie Ba-

warczyków, *ces braves Bavares*, czy Tyrolczyków, ludzi okazałych, dużych, w pięknych mundurach. Im nie potrzeba żadnych ustaw i przepisów. Znają swą służbę; gdy spotkają kłusownika, to go poprostu biorą na cel i walą jak w tarczę, bo oni wszyscy doskonale do tarczy strzelają. Kłusownik wpada w przepaść i koniec.....

Zrobiła się cisza z podziwu nad tą bawarską odwagą i jej monoklowym „elożem".

Z ciszy tej skorzystał p. Ignacy, który dotychczas głosu nie zabierał. Spojrzał po obecnych i tak jął mówić:

— Ja mam całkiem inne wyobrażenie o kłusownictwie i sposobach jego wytępienia, a jeśli pozwolicie, to zamiast teoryi, opowiem wam zdarzenie z własnego życia, w którem całe moje zapatrywanie się zawiera.

— Prosimy! — odezwało się kilka głosów.

* * *

— Jestem myśliwym zamiłowanym nie od dzisiaj. Jeszcze nie było żadnych ustaw o ochronie zwierząt łownych, a ja ochraniałem ich pielesze wiosenne i letnie, w zimy nawalne zaś podwoziłem do kniei siana i koniczu, żeby karmić głodujące sarny i zające. Miałem też w majątku moim stan zwierzyny coraz lepszy, lecz miałem także kłusowników, którzy jak wilki do mych sarn się znęcali. Z tym i owym poradziłem sobie jakoś: odebranie fuzyi, bastonada na miejscu, wreszcie kilkunastodniowa koza leczyła ich z pasyi myśliwskiej; ale jeden z nich, najsprytniejszy i najstraszniejszy, „Czarny Sobek", ani się nie dał złapać na uczynku, ani od kłusownictwa odstraszyć. Wszyscy wiedzieli, że on jest niemal conocnym gościem w kniei, a przecież żaden leśny nie mógł go przy rzemiośle kłusowniczem przydybać. Na samą wiadomość, że „Czarny Sobek" buszuje po kniei, kazałem robić i sam robiłem rewizye w jego chacie, lecz nigdzie ani kawałka lufy, ani ziarnka prochu, ani szczątka zwierzyny. Miał minę oczernianego niewiniątka, składał się jak scyzoryk, choć mu z ócz patrzyło, że to hultaj nad hultaje.

Ha! Trzeba było być cierpliwym! Tymczasem rozlegały się echa strzałów po nocy, znajdowano niedojedzone patrochy sarn e, albo zające zesztywniałe, uduszone w kluczkach z cienkiego drutu, albo słonki, wiszące na siłkach z włosienia.

Burzyło się we mnie nie do opisania. Widziałem, że spryt „Czarnego Sobka" obraca w niwec wszystkie me usiłowania ochrony, a nie mogłem go nigdzie złapać i o niczem przekonać.

Raz przyszło nareszcie do spotkania.

Było to w początkach marca, tak jak teraz — i tak jak teraz spadły nawalne śniegi. Żal mi się zrobiło moich siut, kazałem więc powywozić siana do lasu i rozrzucić je na najznajomszych przesmykach. Pod wieczór — gdy księżyc ładnie zeszedł — zarzuciłem dubeltówkę na ramię i postanowiłem sam przekonać się, czy rozkaz mój należycie wykonano.

Był to spacer dość uciążliwy. Zapadałem w śnieg po kolana, ale czułem potrzebę umęczenia się i sprawiało mi przyjemność to brodzenie w białym puchu. Dwustopniowy mróz i orzeźwiający wiaterek od zachodu, przytem wspaniałe oświetlenie księżycowe dodawały niepospolitego uroku mej nocnej wycieczce.

Na pierwszym przesmyku ujrzałem już z daleka sylwetki mych przyjaciół, zgromadzonych około kopiczki siana. Zające kicały tam i nazad, to znowu stawały słupka i nadstawiały słuchów, albo w skokach pociesznych odbiegały od siana, goniąc się i przewalając w śniegu, widocznie pod wpływem erotycznych popędów. Długie cienie kozłów z odnowionymi parostkami, głowy sarn zwrócone za siebie z nastawionymi bacznie łyżkami, rysowały się fantastycznie na tle białego puchu śnieżnego. Wszystko zdawało się tak bliskiem, że prawie ręką sięgnąć — a nigdzie ani szelestu ani szmeru, jakgdyby cienie chińskie na ścianie.

Skręciłem w bok, nie chcąc zbytecznem zbliżeniem się psuć wieczerzy moim przyjaciołom, — ale mimo to prysnął rudel nagle i zające, wyciągnięte jak struny, śmignęły przez pole.

— Lis może podchodził, a może wilk? — pomyślałem w duszy, i posunąwszy rękę na zamek od strzelby, zatrzymałem się chwilkę i usiłowałem przebić wzrokiem najbliższe zarośla. Tak stałem chwilkę, lecz nic się nie ruszyło, nic nie pokazało — głucha cisza zalegała całą knieję.

Zwróciłem kroki ku drugiemu „wekslowi", leżącemu w rozpadlinie skalnej, przez którą ściągały się wody ku głównemu potokowi, przecinającemu knieję. Tu rozrzucono siano koło lizawki, która tam od dawien dawna ściągała sarny, idące tędy zazwyczaj do pójła. Gdy chodziło o rogacza na stół, można go tu było zawsze mieć na zasiadkę.

I tu było kilka sztuk zgromadzonych, a szczególniej jedna siuta okazała. Zbliżałem się ku nim wielkim lasem, pomiędzy gęste buki, tak, że byłem zupełnie zakryty. Poza lizawką i rozpadliną podnosiła się nieco ku górze duża, naga płyta skalista, która o jakich trzydzieści kroków dalej kończyła się stromą przepaścią. Cała ta płyta była w tej chwili jak arkusz białego papieru, na którym się sylwety lizawki i sarn rysowały.

Wtem od prawej strony uderzył mnie jakiś szczególny cień na śniegu. Pniak czy nie pniak? Ale ten cień poruszał się w lewo i w prawo; to nie pniak, to jakieś żyjące stworzenie. Przylepiłem się do grubego buka, wstrzymałem oddech i stałem się cały oczami.

To był człowiek, to był kłusownik, to był „Czarny Sobek!" Przecież go raz przy robocie zdybałem!

Przechodził koło mnie o jakich sześć kroków, szukając zasłony, aby podejść siutę na pewny strzał.

Co za postać! Co za wyraz twarzy! Co za lisia chytrość i przezorność, choć idzie sam śród głuchej nocy! Patrzy się bezustannie koło siebie i za siebie, ach, byłby mnie z pewnością po wytłokach na śniegu poznał i znalazł, gdyby nie ten traf szczęśliwy, że właśnie z tego miejsca zabierano w ciągu dnia sągi i śnieg był naokoło różnymi butami zdeptany.

Szedł, dysząc jak suchotnik i tłumiąc siłą woli chorobliwe sapanie — oczy czarne świeciły mu się fosforycznie jakiemś światłem całkiem odmiennem od łagodnego światła księżycowego — pochylał się aż ku ziemi, a pod pachą prawej ręki dusił jednorurkę dziwnie oprawną i sznurkami wzmacnianą. Łapcie na nogach, dalej szmaty, skrępowane powrózkami, płótnianka obszarpana, zmoczona od dołu, powróz przepasany nad biodrami, a na tyle głowy czapka barania uzupełniały tę ciemną postać.

Byłem jakby odurzony tym widokiem i czekałem, co dalej będzie.

Księżyc, który przez chwilę skrył się był za chmurę, wypłynął znowu w pełnym blasku i odsłonił gromadkę sarn przy lizawce. Siuta objawiła niepokój, skoczyła w bok i znowu stanęła, zwracając głowę poza siebie. „Czarny Sobek" zmiarkował, że w skutek zmiany powiewu został zwietrzony,

dał więc otwarcie parę skoków, zmierzył się w jednej chwili strzelił. Strzał był za gorący, chybiony, i może tylko jaki jeden siekaniec drasnął sarnę, bo podskoczyła, zwróciła piorunem na miejscu i w pysznych lansadach rzuciła się na skalistą równinkę ku przepastnemu jarowi.

Lecz nie pobiegła sama. „Czarny Sobek“ z niepojętą zwinnością i lekkością pospieszył za nią i wkrótce ujrzałem sylwetkę jego na brzegu koło koszlawej sosny, poczem zniknęła. Zniknięciu temu towarzyszył jakiś dziwny krzyk czy stęknięcie, a dalej jakieś szamotanie i jakby mruczenie żbika.

Ciekawy, coby to było, pospieszyłem i ja za kozą i kłusownikiem. Przyszedłszy na sam brzeg przepaści, ujrzałem świeże urwisko ławy śniegowej i na obłamanym konarze sosny jakiś czarny, stękający i syczący kłębek.

Był to „Czarny Sobek“. Biegnąc za kozą, stąpił nieostrożnie na sam krawędź przepaści, myśląc, że ma jeszcze skałę pod sobą, gdy to już była tylko ława świeżo spadłego śniego. Runął w przepaść, lecz dziurawą frędzlą swej płótnianki zawiesił się na wystającej, obłamanej gałęzi sosny i tak wisiał, nie mogąc rękami drzewa dosiągnąć.

Twarz jego była kurczowo wykrzywiona, oczy świeciły się jeszcze bardziej, to klął po cichu, to wzywał imienia Boga i Matki Bożej, to syczał ze złości, a wyginał się i podrzucał, chcąc koniecznie ręką gałęzi dosiągnąć. Zrobił na mnie wrażenie żbika, który, raniony śmiertelnie, trzyma się jeszcze jednym pazurem, wbitym w korę drzewa, i nie chce spadać.

A każda sekunda stawała się dla „Czarnego Sobka“ niebezpieczniejszą, bo stara płótnianka rozdzierała się w miejscu zaczepienia coraz bardziej, nitki zbutwiałe pękały — jeszcze sekunda, a runie w przepaść.

Chwilkę zdawało mi się, że to jest zasłużony los kłusownika, którego człowiek nie powinien mącić swem niepowołanem wdawaniem się. Ale to była tylko chwilka. Pospolite uczucie ludzkości wzięło wkrótce górę — objąwszy jedną ręką pień sosny, schyliłem się nad przepaścią, a chwyciwszy drugą ręką „Czarnego Sobka“ za powrózek w pasie, wyciągnąłem go na brzeg bezpieczny.

Jak wówczas padł na kolana, tak się pochylił, objął me nogi i całował je nic nie mówiąc.

— Pójdziesz za mną! — rzekłem surowo.

Popatrzył mi w oczy i podniósł się na nogi.

— Chodź! — rzekłem.

Nie ruszył się z miejsca i począł z zakłopotaniem skrobać się w głowę.

— Czego nie idziesz?

— Fuzya panoczku! — szepnął, rzucając okiem w przepaść.

— Gdzież ją teraz znajdziesz?

— Oj, coby nie! Duchem się znajdzie — i nie czekając pozwolenia, spuszczał się w jar po znajomej steczce.

Czekałem — choć byłem pewny, że to tylko wybieg, że pod pozorem szukania strzelby zniknie mi z oczu i już się więcej nie pokaże.

Byłem w błędzie. Po pewnym czasie wynurzyła się z jaru czarna postać Sobka. Przyszedł i stanął koło mnie czekając rozkazu.

— Nie znalazłeś strzelby? — zapytałem widząc, że wrócił z gołymi rękami.

Nic nie odrzekł, tylko spuścił oczy jakby zawstydzony.

Domyśliłem się, co to znaczy. Odchyliłem mu płótniankę na piersiach. Z jednej długiej kieszeni wysterczała lufka, w drugiej szerszej mieściło się łoże wraz z zamkiem. Jak się to składało i strzelało, Bóg jeden raczy wiedzieć.

Skinąłem rozkazująco i puściliśmy się w drogę ku domowi.

Tej nocy „Czarny Sobek“ był moim jeńcem; siedział zamknięty w szopie na sianie, nazajutrz zaś przywołać go kazałem do indagacyi.

Na wszystkie zapytania, dlaczego mi takie wielkie szkody wyrządza, odpowiadał:

— Panoczku! Bóg widzi, że nie mogę inaczej! Mnie do lasu ciągnie i ciągnie. Kląłem już nieraz na to, zamykałem się sam, i Bóg widzi, że nie mogę.

Groziłem mu surowymi karami, i na odwrót, chciałem od niego odkupić grunt i chałupę pod lasem i dać mu dwa razy tyle gruntu i chałupę na drugim końcu wsi. Skrobał się w głowę i nic nie odpowiadał. Nie chciał.

Poszedł więc znowu do szopy pod kłódkę, a ja tymczasem rozważałem, co z tym fantem zrobić.

Myślałem, że między ludźmi mamy całą rozmaitość form i usposobień świata zwierzęcego. Każdy to widział i widzi — tę kobietę przyrównywał do kurki domowej lub do gąski, owego prokuratora do wyżła, żandarma do charta, który dopóty goni, dopóki kopyry za kark nie chwyci — bankiera do spasłego borsuka, co o zmierzchu giełdowym na rozbój wychodzi, chożą dziewczynę do kózki czarnookiej, chytrego adwokata do lisa, co kitą ślady za sobą zaciera itd. Otóż i co do Sobka powiedziałem sobie, że to jest wybitna bardzo species człowieka, którego ani prośby, ani groźby, ani wychowanie, ani srogość prawa zmienić już nie zdołają. Pozostanie on zawsze *Homo rapax* — żbikiem, rysiem, czy wilkiem w skórze człowieka, z krwią, w której każde ciałko krwiste tętni chucią polowania.

I powiedziawszy sobie to wszystko, znalazłem odrazu sposób pozbycia się kłusownika.

— Przyjmuję cię do służby — rzekłem, gdy stanął znów przedemną.

Sobek wytrzeszczył zdziwione oczy.

— Biorę cię do służby leśnej, ale będziesz tylko pilnował polowania i zwierzyny.

Sobkowi zaświeciły się oczy.

— Będziesz mieszkał w samym lesie, dostaniesz chałupę, ogród i ordynaryę, będziesz zakładał lizawki i roznosił karmę; będziesz tropił kuny, żbiki, a może i ryś się znajdzie; będziesz obcinał dziki, będziesz wyszukiwał gawry niedźwiedzia w górach... musisz mi tak służyć.

Sobek padł mi jak długi do nóg i odtąd był moim tropicielem i łowczym, jakiego świat i korona polska nie widziały.

Gdyśmy czasem wyszli w ranek słoneczny, a on mi pokazywał na trawie rosą okrytej, którędy szło stadko jarząbków, a którędy lis się za nimi zakradał — albo ukazywał gnieżdżące się słonki — albo dowodził, do którego dziupła kuna nocować chodzi, lub liczył po rosie z ilu warchlakami locha przeszła — to doprawdy musiałem uwierzyć, że ten człowiek ma jeszcze jeden zmysł ponad pięć innych, które wszyscy mamy, że ma specyalny zmysł łowiecki owych ludzi pierwotnych, którzy jeszcze w jaskiniach mieszkali, i że ten zmysł jest całym wątkiem jego życia. Gdyby jaki Niemiec, piszący książki przyrodnicze, znał choć połowę tych tajemnic przyrody, które Sobek poznał, widział i zgłębił — zyskałby łatwo sławę genialnego badacza.

O kłusownictwie ze strony Sobka nie było już mowy, innych kłusowników gnębił nielitościwie, ale zato i ja się miałem z pyszna, gdym zaniedbał ochronę zwierząt łownych lub polowanie.

Staliśmy się przyjaciółmi od serca, a gdy raz myś postrzelony szedł na mnie rycząc, a on strzelił i także go nie ubił — dostał się w uściski mysia i zginał jak żołnierz na posterunku.

Płakałem za nim rzewnymi łzami.....

* * *

— I oto moi panowie — kończył pan Ignacy — rozwiązany problemat, co czynić z prawdziwymi kłusownikami. Mówię z „prawdziwymi", bo jeśli złapiesz kolonistę na zasiadce, lub chłopa co kozę ukradkiem wynosi, to go skarz, okładaj grzywnami i pakuj do więzienia. Taki kłusownik co bije, aby zjeść lub sprzedać i mieć zysk, to prosty złodziej nie kłusownik; tak samo ukradnie ci pieniądz z mieszka lub snop ze stodoły. Takiego oduczy surowość prawa i odbierze mu fałszywy apetyt do polowania — ale prawdziwy „kłusownik" to artysta, amator, maniak, szaleniec — to co innego.

— Nieprawdaż?

To ostatnie pytanie odbiło się dość głucho. Ksiądz proboszcz drzemał z palcami zatrzymanymi na młynku od brzucha, rotmistrz wytrzepywał fajkę i czyścił piórkiem bursztyn, a pan kasyer, sędzia i Alfons grali ukradkiem „krótkiego".

Tylko młody p. Kajetan zbliżył się, uścisnął rękę Ignacego i rzekł:

— Dziękuję ci serdecznie za dobrą radę *St.*

Duet z moim Hektorem.

Pieśń starego myśliwca na znaną nutę.

Czy pamiętasz, mój Hektorze,
Ten ubiegły piękny czas,
Gdy na bagnach czy jeziorze
Świt poranny witał nas?

Było to gdzieś na Podolu,
Pierwszyś raz do kszyka stał,
Tyś był wówczas w pierwszem polu,
A niechybny był mój strzał.

— Oj! to pamiętam, to pomnę,
O tem tylko myśleć chcę;
Ja tych czasów nie zapomnę,
Celne były strzały twe.

Czy pamiętasz, jak raz w borze
Tyś cietrzewi spędził rój?
Padał wypiór po wypiorze —.
Czy pamiętasz piesku mój?

Raz na czółnie — za kaczkami
Tyś w zapale skoczył w staw,
Wywróciłeś czółno z nami,
Jam do brzegu wrócił wpław.

— Prawda! Wielka to niecnota
Skakać twym zakazom wbrew,
Ale na widok podlota
Zawsze we mnie kipi krew.

Raz, gdyś biegał między głogi,
Szarak ci z przed nosa wstał.
Choć krzyknąłem: „Sa!... do nogi!"
Tyś jak waryat za nim gnał.

A gdyś wrócił zawstydzony,
Ja z torby dobyłem bat.
Twój grzbiet wówczas oćwiczony
Pamiętałeś wiele lat.

— Przewiniłem, prawda szczera,
Pierwszy zając!... to nie żart!
Lecz gdy pomknie tak kopyra,
Nie powstrzyma nawet czart.

Tyś pamiętał tę przestrogę,
Choć ci zając pomknął tuż,
Czułeś przed mym batem trwogę,
Nie goniłeś odtąd już.

Dziś żal mi twej biednej skóry,
Razów, które dałem ci;
Więc te baty — te tortury,
Piesku!... nie pamiętaj mi!

— Choć to pamiętam, choć pomnę,
Ani myśleć o tem chcę,
Chętnie dziś wszystko zapomnę,
Choć bolały baty twe.

Pomnisz tych myśliwych szyki,
Co to spadły na nasz kraj?
Co strzelają dziś indyki,
Gdzieś wylęgłe w domu z jaj?

Na tych łowach my raz byli.
Tyś do domu uciekł wnet.
Oni wszyscy się dziwili,
Żem za tobą pobiegł het!

— Pomnę! Lecz miałem przyczynę
Od takich uciekać bied,
Bo łowić taką zwierzynę,
Strzelcom i wyżłowi wstyd.

Czy pamiętasz, raz, gdy w maju
Zakazan był wszelki łów,
Jam był jednak jakby w raju,
Śród czarownych żyłem snów?

Wówczas na ścianie wisiała
Wciąż spokojnie moja broń,
A czarowna rączka biała
Wciąż głaskała twoją skroń.

— Pomnę te chwile uroku,
O tej Pani myśleć chcę!
Lecz czemuż ta dłoń od roku
Wcale już nie głaszcze mnie?

Czy pamiętasz? — tej jesieni
Poszliśmy gonić śród pól,
Tyś szukał pośród przestrzeni,
Pośród krzaków, łąk i ról.

Tyś jak dawniej wietrzył gładko,
Niejeden przebiegłeś szlak,
Tyś kuropatw spłoszył stadko —
Jam do nich chybił — jak żak!

— Prawda! Nos nie dopisuje!
Wszystko się dziś składa tak,
Że pies choć i przywaruje,
Już mu nie dotrzyma ptak.

Bo wszystko się w świeci mieni,
Szron jesienny skryje las,
Ptak wiosny umknie w jesieni...
I nas także zmienia czas.

Dla nas jesień już zapadła,
I nie wrócą piękne dnie —
Dawna przeszłość już przepadła,
Znajdziem ją już chyba w śnie.

— Ja to pamiętam, to pomnę,
O tem tylko marzyć chcę,
O tem nigdy nie zapomnę —
Piękne były czasy te!

Schodzim z pola, mój Hektorze!
Przebyliśmy trudów dość,
Tyć ogłuchł w życia wieczorze,
Mnie reumatyzm łamie kość.

Może czas już niedaleki,
Pójdziesz kędy wyżłów raj,
Twój Pan zamknie też powieki
I uleci w inny kraj.

Mówią przecież, że jest w raju
Świętego Huberta łów —
Kto wie — może w lepszym kraju
Jeszcze się spotkamy znów!

L. Starzeński.

Polowanie z wyżłem na ptaki.

Z własnych doświadczeń

podał

Seweryn Kisielewski.

I.

Na przepiórki.

Pora polowania na przepiórki rozpoczyna się u nas według ustawy z dniem 15. lipca, jednak w praktyce poluje się na nie ledwie dopiero w drugiej połowie sierpnia, bo w polu wre jeszcze robota rolnika, a zresztą z powodu często opóźniającej się wiosny, nie są w stanie przepiórki uporać się na komendę z lęgiem i wychować na czas młode.

Biedne przepiórki, nie grzeszące rozumem jak wszystkie kuraki, nie umieją nawet odgadnąć, w jakiem miejscu zagraża im największe niebezpieczeństwo i gnieżdżą się często w koniczu, lub w trawie na łące, gdzie przy sposobności sianokosów, gniazda z jajami a często i wykłute z jaj pisklęta ulegają zniszczeniu. Dotknięte tym sposobem parki, chcąc powetować stratę i dopełnić wskazanego im przez przyrodę obowiązku rozmnoży, zabierają się do drugiego lęgu, lecz i ten się nie udaje, bo pisklęta, wykłute z jaj przy końcu sierpnia lub z początkiem września, nie dorastają już do tego stopnia, iżby mogły odlecieć; zostają więc na naszych jesienną porą pustych polach i łąkach, stając się łupem drapieżców lub ginąc z głodu i zimna. Sam widywałem w drugiej połowie września tak młode przepiórki, że ledwie dopiero pałkami były okryte, a strzelałem kilka razy w życiu mojem do przepiórki w miesiącu październiku i listopadzie, to jest w czasie, kiedy przepiórki już dawno znajdują się za morzem.

Przepiórka opuszcza nasze niwy zwykle we wrześniu, jednak zdarza się często, iż w połowie września są jeszcze przepiórki bardzo gęste, a nawet i przy końcu września nie rzadko można na nie natrafić.

Innym razem znowu, mimo, że kontyngens z wiosny okazywał się dość obiecujący, spotyka się w połowie września ledwie pojedyńcze okazy, a w drugiej połowie września już i ze świecą nie wynalazłby ani jednej przepiórki.

Wrzesień jest normalnym miesiącem powolnego odlotu przepiórek, te zaś, które się napotyka w październiku, lub jeszcze później, pochodzą właśnie ze spóźnionego lęgu, albo są w jakiś sposób uszkodzone i nie zdolne do odlotu, przeto zmuszone pozostać na miejscu. Może być, że brak żeru zniewala przepiórki do rychlejszego opuszczania naszych

pól i łąk, bo postępowy rolnik nie zostawia długo ściernisk, owego eldorada stadek przepiórczych, lecz zaledwie zdąży zebrać i zwieźć plon do domu, spieszy zaraz z pługiem na zagon, aby go przeorać.

O ochronie przepiórki w całem znaczeniu tego wyrazu nie może być u nas mowy, chybaby rolnicy posunęli termin kośby i żniw choć o dwa tygodnie później; w przeciwnym razie, w obec postępu rolnictwa i wysiłków człowieka w celu zdobycia pod uprawę każdej piędzi ziemi, leżącej odłogiem, musi ochrona przepiórek pozostać życzeniem niespełnionem.

Gdzie przepiórek szukać należy, gdy się rozpocznie doba polowania na nie, odpowie każde wiejskie chłopię, co pasie krowę lub inną chodobę; słyszało ono wabienie czyli „bicie“ przepiórek, owe charakterystyczne „Pidpilit!“ i po głosie poznało miejsca pieleszy.

A przepiórka nie jest wymyślna; przebywa tak dobrze w zbożu wśród pól, jak i w trawie na łące, a wyjątkowo nawet na błotach, jeżeli tam rosną z rzadka krzaki wikliny i znajdują się suche kępy, bo to jest już właściwością przepiórki, że przebywa wyłącznie na suchych miejscach.

Wybrawszy się więc na przepiórki, idź młody myśliwcze w pole na ścierń, w tatarkę (hreczkę), konicz i ciągnące między ścierniskami zielone smugi kukurudzy, konopi i prosa, wreszcie na zagony ziemniaków, a pewnie je tam znajdziesz i parę sztuk nawet bez psa wydepcesz.

Niegdyś łowiono przepiórki sieciami i w tym celu tresowano psy do polowania na przepiórki w ten sposób, iż pies, skoro przepiórkę wyszukał, kładł się zaraz na ziemi i zwracał tylko nos w kierunku, gdzie przepiórka siedziała, a myśliwy przykrywał siecią przepiórkę wraz z psem i dopiero, gdy się zerwała i uwięzła w sieci, wydobywał ją stamtąd i chował do torby.

Od takiego „układania się“ psa na ziemi przy wystawianiu przepiórki, musiała powstać najprawdopodobniej nazwa „legawiec“, która przeszła później na wszystkie psy, używane do polowania na ptaki.

Ja takie psy widziałem, i gdyby mię zapytano, w jaki sposób należy postępować z nimi, aby się nie sterały i jak najdłużej mogły spełniać obowiązki „legawca“, odpowiedziałbym, że należy je zostawiać zawsze w domu, aby spiąc na trawniku i wygrzewając się do słońca sztuki „legania“ nie zapomniały. Widziałem bowiem, iż taki pies, skoro przy wystawieniu przepiórki ułożył się na ziemi, starał się tak twardo leżeć, iż nie było sposobu zmuszenia go, aby wstał i poszedł za przepiórką, która tymczasem już dalej odbiegła. Gdy wreszcie jego właściciel, po wyczerpaniu wszelkich możliwych próśb i gróźb, zastosował doń koński zwyczaj wierzgania i kopania, wtedy dopiero pies podniósł się na nogi, lecz zamiast pójść za śladem przepiórki, pogonił własnym śladem.... prosto do domu.

Dziś łowy na przepiórki z wyżłem i sieciami są już prawie nieznane, ponieważ w obec wydoskonalenia broni myśliwskiej i możności strzału na dalszą odległość, zachowują tegocześni myśliwi wobec zwierzyny tyle rycerskości, iż zostawiają jej możność do ucieczki. Gdy nadto „układanie się“ psa na ziemi przy wystawieniu zwierzyny, w zastosowaniu do łowiectwa naszych czasów, jest najzupełniej niepraktyczne, sprzeciwiam się stanowczo podobnemu tresowaniu wyżłów.

Polujemy więc dziś na przepiórki ze strzelbą i z psem, gdyż bez psa nie zdołalibyśmy przyjść nietylko do kilkudziesięciu ale nawet do kilkunastu strzałów. Niektórzy myśliwi polują w pojedynkę nawet z dwoma psami naraz. Ale ja nietylko, iż się z tym nie zgadzam, lecz owszem twierdzę, że myśliwy, co wychodzi na łowy z dwoma psami naraz, poluje raczej na efekt, niż na zwierzynę. Ja przekonałem się setki razy, iż jeden dobry pies nietylko dla jednego, ale i dla dwóch strzelców najzupełniej wystarcza.

Polowałem i ja sam jeden z dwoma, a nawet z trzema psami naraz, ale zauważyć muszę, że czyniłem to jedynie dla próby i poniekąd z konieczności, ponieważ miałem dwa psy własne już ułożone, a trzeciego dopiero układałem. Będąc zaś kawalerem, zabierałem najczęściej mój cały ulubiony dobytek ze sobą i czułem się zawsze najszczęśliwszym w gronie tych najwierniejszych moich przyjaciół. Na polowaniu jednak wolałem, jeżeli tylko jeden pies był przy mnie, albowiem sprawdziłem wielokrotnie, iż na polowaniu panowała pomiędzy nimi szalona zazdrość, której następstwem było wściekłe uganianie po polu, a często nawet płoszenie zwierzyny.

Oto parę przykładów.

Raz, w ciągu szalonej gonitwy rywalizacyjnej, udało się nareszcie jednemu psu wyszukać i wystawić przepiórkę. Wtedy przybiegły pędem oba inne psy i stanęły na piętnaście kroków obok niego w ten sposób, iż stojąc głowami ku sobie, utworzyły regularny trójkąt. Ja, przygotowawszy się do strzału i stanąwszy naprzeciw tego psa, który pierwszy przepiórkę wyszukał, zakomenderowałem: „Naprzód!“ Wówczas pierwszy posunął ku środkowi pies najmłodszy, za nim poszedł drugi starszy, a ostatni, stary weteran, poskoczył naprzód tak, iż wszystkie trzy znalazły się razem, jak gdyby siebie wzajemnie atakowały, a przepiórka tymczasem porwała się po za kłębkiem psów, tuż prawie przedemną. Skoro psy usłyszały przepiórczy okrzyk przestrachu: „Brilililі!“ rzuciły się pędem w kierunku, którędy ptak odlatywał, skacząc przytem jeden przez drugiego i obalając się wzajemnie. Następnie powstawszy, pogoniły za przepiórką, lecącą bardzo nisko ponad ziemią, podczas gdy ja, z obawy postrzelenia którego z psów, zrezygnowałem ze strzału.

Gdy potem wyłożyłem psom za pomocą harapnika, że porządne psy takich głupstw robić nie powinny, uciekły się do fortelu i szukały niby każdy dla siebie, ale ukradkiem spoglądały ciągle jeden na drugiego. Skoro tylko jeden zaczął sygnalizować, to oba inne już go z oka nie spuszczały, i jak sznurkiem ściągały w tym kierunku, jaki ich towarzysz im wskazywał, a gdy jeden stanął, to i oba inne także stawały, patrząc ciągle na niego i przybierając pozycyę taką, jak gdyby przepiórka siedziała tuż przed nimi. Spostrzegłszy ten manewr, myślałem zrazu, iż wszystkie trzy psy mają przed sobą zwierzynę. Podszedłem więc do tego, który był najbliżej odemnie i rzekłem: pójdź dalej! Ale jakże się rozczarowałem, widząc, iż pies idzie sznurkiem do swego towarzysza, który najpierw stanął. Gdy się przybliżył na taką odległość, iż przepiórkę zwietrzył rzeczywiście, stanął ponownie, ja zaś zostawiając go na miejscu, poszedłem do trzeciego, który na rozkaz: „Pójdź dalej!“ zrobił jota w jotę to samo co poprzedni.

Nie chcąc, ażeby się powtórzyła scena, jaką widziałem przy sposobności wyszukania pierwszej przepiórki, wszedłem między psy i spłoszywszy sam przepiórkę, strzeliłem, wołając zaraz po strzale na psa, którego dopiero układałem: „Aport!“ Pies pomknął natychmiast, lecz równocześnie i dwa inne uczyniły to samo i przybiegły prawie razem w miejsce, gdzie przepiórka padła. Szczęśliwym trafem wynalazł przepiórkę pies młody, ale zaledwie ją wziął w pysk, już go drugi starszy chwycił za kark i przestraszył do tego stopnia, iż ten, wypuściwszy przepiórkę z pyska, zaczął uciekać;

ów zaś, który go za kark chwycił, niezmiernie zadowolony, ukrywszy przepiórkę całkiem w pysku, zaczął biegnąć do mnie. Niestety, i jemu się to nie udało! W pół drogi dogonił go pies najstarszy, a porwawszy go za kark, rozpoczął z nim tak gwałtowną sprzeczkę, że i ten drugi musiał przepiórkę upuścić na ziemię, skąd nareszcie podjął ją pies najstarszy i przyniósł mocno pogniecioną do mnie.

Znowu musiałem obu starszym psom wykładać harapnikiem, że wyżłom dobrze ułożonym takie hece wcale nie przystoją, a chcąc stanowczo uniknąć nadal podobnych i dla psów i dla mnie przykrych zajść, kazałem obu starszym psom leżeć w jednem miejscu, sam zaś oddaliłem się z młodym psem ze dwieście kroków od nich i zacząłem polować.

Z mruczeniem, znamionującem niezadowolenie, pozostały psy starsze w miejscu, gdzie im leżeć kazałem i nie ruszając się stamtąd, śledziły z podniesionymi głowami ewolucye swego towarzysza i moje ruchy. Dla pewności, czyli rozkazu nie przekroczą, przyłożyłem strzelbę do oka, jakobym chciał strzelać, co gdy psy spostrzegły, powstały natychmiast na nogi, lecz mimo to, nie ruszyły się z miejsca.

Mając już tedy pewność, że psy nie złamią rozkazu, poświęciłem całą uwagę moją młodemu psu, który był koło mnie i cieszyłem się bardzo, że nie oglądając się za starszymi psami, szukał całkiem swobodnie. Wreszcie wyszukał przepiórkę i wystawił. Wtedy podszedłem do niego, a wziąwszy go za obróżę, odprowadziłem z miejsca, gdzie stał, i kazałem mu iść za nogą. Zakreśliwszy koło w promieniu kilkudziesięciu kroków, stanąłem znowu i rozkazałem ponownie, aby szukał. Pies poszedł naprzód i nastawił „sygnał“. I tym razem postąpiłem tak samo, jak poprzednio, a pies po raz trzeci stanął i zasygnalizował.

Widząc, że dotychczas szło wszystko bardzo dobrze i pięknie, przestrzegłem psa wyrazem: „Waruj!“ sam zaś wydobyłem papierosa i zacząłem palić. Spostrzegłszy atoli po niejakiej chwili, że pies podnosi niecierpliwie przednią łapę do góry i chce iść naprzód, domyśliłem się, iż przepiórka ruszyła z miejsca i uchodzi. Zbliżyłem się więc pospiesznie do psa i rzekłem: „Pójdź dalej!“ Pies, przysiadłszy na nogach, ruszył zwolna naprzód, a ja postępowałem za nim tak długo, dopóki nie stanął ponownie; wreszcie zostawiłem go tak stojącego, a obszedłszy w półkole i stanąwszy naprzeciw niego w oddaleniu 20 kroków, wydałem ostateczny rozkaz: „Piff!“ Pies skoczył naprzód i zmusił przepiórkę do zerwania się, a ja, strzeliwszy, spuściłem ją na dół o 30 kroków dalej i kazałem psu podać. Pies poskoczył i wziąwszy przepiórkę w pysk niósł do mnie. Lecz jakże się zdziwiłem, gdy na pięć kroków puścił ją na ziemię i zaczął uciekać. Chcąc poznać przyczynę jego przestrachu obejrzałem się i zobaczyłem, jak oba starsze psy, niby huragan, wpadły na arenę popisów nowego kolegi. Rozgniewało mię to wprawdzie, lecz nie robiłem już i nie mogłem robić psom za to żadnych wyrzutów, gdyż uczyłem je, żeby na strzał przybiegały.

Zwoławszy psy do nogi, wziąłem ubitą przepiórkę w rękę i odrzuciwszy na bok, kazałem młodemu psu aportować. Nadaremnie! Pies, bojąc się zębów starszych swych towarzyszy, ociągał się i przepiórki przynieść nie chciał.

Obawiając się, aby pies się nie zepsuł, musiałem rad nie rad wrócić z polowania do domu, zyskawszy przy tej próbie jedynie przekonanie, iż młodego psa, będącego w pierwszem polu, nie powinno się nigdy układać przy pomocy starszego, już utresowanego wyżła.

Można wprawdzie polować z dwoma i więcej wyżłami naraz, ale tylko wtedy, jeżeli na polowaniu znajduje się więcej myśliwych i każdy pies należy do innego właściciela. I wówczas jednak tylko wtedy może być polowanie przyjemne i dać dobry rezultat, jeśli wszystkie psy są karne i dobrze ułożone, tak, iżby żaden za chybionym ptakiem, lub co gorsze za zającem nie gonił. Do tego muszę dodać, że myśliwi powinni się rozejść i polować w oddaleniu najmniej dwieście kroków od siebie, rozumie się z wyjątkiem tych myśliwych, których dwu przypada na jednego psa. W przeciwnym razie psy będą sobie przeszkadzały i jeden zły pies, mający wadę gonienia za zwierzyną, wzbudzi zazdrość w innych dobrych i spowoduje je do popełniania głupstw takich, jakich zazwyczaj nie popełniają.

Czytałem gdzieś, że Anglicy polują w pojedynkę z dwoma psami naraz, i mają psy w ten sposób ułożone, iż jeden wystawia zwierzynę, a drugi za nim staje, poczem drugi ubitą zwierzynę aportuje, bo pierwszy tylko do ściągania i wystawiania jest ułożony. Zdaniem mojem jest to tylko czcza parada — polowanie na efekt u ludzi zamożnych, którzy się nie boją, aby ich „psy zjadły“.

Gdy myśliwy idzie na przepiórki, powinien kazać psu, aby szedł za nogą aż na miejsce, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa mogą się przepiórki znajdować. Od tej reguły można odstąpić tylko w takim wypadku, jeśli pies jest za gorący i zachodzi potrzeba, aby przed polowaniem trochę się przemęczył. Nie można jednak zezwolić pod żadnym warunkiem, aby uganiał po polach za ptaszkami.

Przybywszy na miejsce, potrzeba przedewszystkiem zbadać kierunek wiatru i postępować z psem, jeśli jest jeszcze młody, tylko pod wiatr, lub przynajmniej tak, aby kierunek wiatru szedł z ukosa. Skoro pies pójdzie przez dłuższy czas pod wiatr i wyszuka ptaka, to zapamięta sobie, że tylko pod wiatr szukać mu wypada i w razie niekorzystnego wiatru będzie sobie radził w ten sposób, iż chodząc w zygzak, będzie nastawiał „pompę“ tylko do wiatru.

Stare psy umieją sobie radzić znakomicie; pobiegłszy z wiatrem ze sto kroków naprzód, obracają się następnie i szukając zygzakiem, wracają do myśliwego aż na odległość dwudziestu kroków.

Zresztą każdy początkujący myśliwy będzie wiedział sam najlepiej, w jaki sposób wypada mu swojego psa zażyć i jaki pies będzie dla niego najodpowiedniejszy. Zawisło to bowiem głównie od temperamentu psa i jego sposobu szukania. I tak: pointer szuka zwykle w krótkim lecz dość szybkim cwale, skutkiem czego pominie czasem zwierzynę nie zwietrzywszy jej wcale, co jednak nie szkodzi, skoro myśliwy postępuje zwolna, ponieważ pies, biegnąc szybko, zwykł kilka razy okładać, przez co trafia w końcu na zwierzynę, którą poprzednio pominął. Setter szuka z początku także idąc cwałem, ale następnie, w miarę zmęczenia się, zmienia cwał na kłus wyciągnięty. W ogóle trudno orzec, który z nich jest lepszy, ponieważ oba te rodzaje legawców są bardzo dobre i mają wiatr czyli węch znakomity. Dlatego mniemam, że wybór między nimi zawisł od gustu myśliwego, czy woli psa ruchliwszego, czy też powolnego.

Psy rasy kurlandzkiej i czeskiej są przeważnie bardzo powolne i szukają, biegając wolnym truchtem, lub też nawet prawia stępo; są przeto najodpowiedniejsze dla myśliwych już wiekowych, lub też ociężałych. Jak tylko „wiatr“ przepiórki psa zaleci, zaczyna zaraz sygnalizować, t. j. kręcić mocno ogonem, przysiadać i ściągać, czyli postępować w kierunku, skąd go ta woń zalatuje. Potem, zbliżywszy się na

pewną odległość do przepiórki, mniej więcej dziesięć, piętnaście do dwadzieścia kroków, staje i nastawia sygnał, to jest wypręża ogon, a nosem wciąga w siebie wiatr przepiórki, mlaskając przytem z cicha językiem, jak gdyby smakował. Jednak zauważyć mi wypada, że ściąganie nie jest u wyżła regułą i ma miejsce tylko wtenczas, kiedy przepiórka jest jeszcze daleko, a pies miejsca, gdzie siedzi, z całą pewnością wskazać nie jest w stanie; w przeciwnym bowiem razie, bez ściągania, staje często w pełnym biegu z podniesioną jedną łapą przednią, lub tylną i głową zwróconą w bok, ku miejscu, gdzie przepiórka się znajduje. Zdarza się to tylko wtedy, kiedy psa zaleci woń tak silna, iż jest już pewny, że przepiórka siedzi tuż obok niego.

Gdy pies już stoi i na upomnienie: „Pójdź dalej!“ z miejsca się nie rusza, powinien myśliwy zbliżyć się do niego od strony, w którą pies ma zwróconą mordę i spłoszyć przepiórkę sam, szelestem swoich kroków. Jeżeli mimo to przepiórka się nie zerwała, potrzeba wyrazem: „Pif!“ rozkazać, aby ją spłoszył.

Przepiórka ma w ogóle ten zwyczaj, że bardzo twardo dosiaduje i podrywa się niechętnie, zwłaszcza w czasie, kiedy jest już „oblana“ (tłusta). Napierana przez psa, uwijającego się tuż koło niej, uznaje za stosowne „ciec“ tj. wymykać się piechotą. Przy tej sposobności spieszy tak, iż pies, skoro zbada nosem kierunek ucieczki, musi czasem biegnąć cwałem, aby jej nie zgubić. Ubiegłszy kilkanaście kroków, zatrzymuje się zwykle przepiórka i znalazłszy jaką taką kryjówkę: kupkę gęściejszej ścierni lub trawy, a nawet nieco większą grudkę ziemi, siada plackiem i przywarowuje, tak, iż można ją przykryć czapką, a nawet chwycić ręką.

Skoro pies przepiórkę spłoszy, a ta poderwawszy się, wyda głos: „Czerrr, czerrr“, następnie zaś, lecąc bardzo nisko ponad ziemią, doda jeszcze: „Rrek, rrek!“ i zaraz potem zapada, to nie powinno się do niej strzelać, ponieważ na sto wypadków, w dziewiędziesięciu dziewięciu można przyjąć jako pewnik, że to matka piskląt, okrytych dopiero żółtawym puchem, które potrzebują koniecznie jeszcze ochrony matki. Młode przepiórki, będące jeszcze w puchu, lub okryte dopiero pałkami, nie mają w języku łowieckim żadnej osobnej nazwy. Słyszałem tylko raz czy dwa razy w życiu, że nazywano je „orzechami“, ze względu na ich podobieństwo do włoskich orzechów.

Gdy się zerwie najpierw młoda przepiórka, jeszcze tak mała, że do niej strzelać nie warto, należy kazać psu, aby poszukał w tem miejscu jeszcze lepiej, gdyż jest tam z pewnością jeszcze więcej takich i wiekszych, oraz starka, którą można już ubić, ponieważ rodzina jej już podrosła i może się bez niej obejść.

Zdarza się także przy sposobności polowania na przepiórki, na ścierniach szerokich łanów, że tu i owdzie z pod miedzy zrywa się po strzale, oprócz starych przepiórek, po kilka młodych różnej wielkości, ale te już nie składają jednej rodziny, tylko są zbiegami, które strach przed strzałami, a może i widok psa i myśliwego zapędził pod miedzę. Strzeliwszy więc raz do przepiórki, trzeba być w gotowości do drugiego strzału, ponieważ za chwilę z tego samego miejsca, albo trochę dalej, może się zerwać jeszcze kilka sztuk. Przepiórki mają w ogóle tę właściwość, że naciśnięte przez psa, a nawet po strzale, nie zrywają się nigdy naraz, lecz pojedynczo, lub najwięcej po dwie, mimo, iż w tem miejscu znajduje się ich czasem kilka.

Lot przepiórki jest cichy, bez szelestu skrzydeł, regularny i dość szybki. Przepiórka leci zawsze prosto w kierunku poziomym, na metr lub dwa po nad ziemią i z tego powodu bywa bardzo łatwą do strzału. Wyjątkowo, jeśli została trafiona w kuper, podnosi się w kierunku pionowym na kilka metrów w górę, skąd nastepnie już nieżywa spada, jak kula, na ziemię.

Ładunki na przepiórki powinny być trochę słabsze t. j. zawierające mniej prochu i śrótu, niż zwyczajnie, ponieważ ptak ten, jak już nadmieniłem, dosiaduje bardzo twardo i zrywa się parę kroków przed myśliwym, w skutek czego strzela się do tego ptaka na bardzo blizką metę i ma się często nieprzyjemność, że celnym strzałem rozbija się go zupełnie, tak, iż pies, zamiast przepiórki, przynosi tylko pojedyncze jej części. (C. d. n.)

KORESPONDENCYE.

Z pod Brodów w lutym.

(Dzicza kniejа.)

O polowaniach w Toporowie, u hr. W. Baworowskiego, podaliście już krótką notatkę. Uzupełniam ją i prostuję niniejszem ciekawymi szczegółami.

Właściwie w Toporowie nie było polowania, tylko próba. Wszystkiego polowaliśmy w 6 strzelb przez dwa dni w rewirze „Linia“ zwanym. Pewno 150 dzików widziałem na własne oczy, a z obliczenia ogólnego wyżej 200 ruszono.

Pierwszego dnia strzelano tylko do dzików. Hr. Baworowski zabił dużą maciorę, hr. Henryk Starzeński postrzelił maciorę, która ledwie do miotu się zawlokła, a że czarna stopa, i nie szukano aż po naszym wyjeździe, tośmy jej nie dostali. Ja zabiłem wycinka i dobrzem strzelił do maciory, którą zapewne znaleziono potem.

Drugi dzień polowania również czarna stopa — pierwszy miot wzięto na sarny i szczerze powiem, że takiego stanu sarn jeszcze nigdzie nie widziałem. Naturalnie, że były i dziki, które się przebiły przez nagonkę. W drugim miocie także były dziki. Padło pięć rogaczy. W trzecim miocie dziki także; hr. Baworowski (syn) strzelił śrótem i zastrzelił, ale czy znajdą, kiedyś doniosę. Braliśmy zdaje mi się szósty miot, i kiedy już prawie wszyscy rozstawieni, widzimy, że przez linię w trzecim miocie przechodzą po mału dziki, po sześć, pięć i tak przeliczone je do 60-ciu. Pan nadleśniczy (doskonały myśliwy) zwija strzelców, nagonkę wstrzymuje i daje inny rozkaz. Siadamy na wozy i przerzucamy się na inną linię — i właśnie w tem pokazał się p. nadleśniczy mistrzem, bo nas rozstawił nie w tym miocie, do którego weszły dziki, ale obok. Stoimy z bijącem sercem na drodze, która idzie z Sokołówki do Toporowa, a tu jak na złość jarmark był, i fury i piesi ciągle przeciągają. Turkot, bo gruda, już kilka fur przejechało, już słyszę miły szelest dziczy — wtem za mną odzywa się piskliwy

głos babski „Sława Bohu!“ Zrobiłem giest niecierpliwy, żeby milczała i prędko poszła, lecz w jaką minutą potem słyszę, że znów mego sąsiada powitała. Wtem ogromny łomot i całym pędem przebiega na kilkadziesiąt kroków kilkanaście sarn. Nie patrzyłem nawet, czy był tam rogacz, bo słyszę równy szelest liści — serce mocniej zabiło — i widzę, stojąc pod grubą sosną, pomiędzy cienkim grabowym lasem, czarną masę dzików. Na jakich sześćdziesiąt kroków przed drogą stanęły, a potem, jak huragan jaki, pędem szły na sztych do mnie. Śliczna czarna maciora prowadziła stado. Przypuściłem ją na jakie dwadzieścia parę kroków i z ekspresa strzeliłem pomiędzy oczy. Została na miejscu, a warchlaki rozprószyły się. Puściłem jeszcze dwie gładkie kule z drylinga za nimi, ale bez skutku. Zaraz na lewo i na prawo odemnie padło kilka strzałów; gospodarz zabił ślicznego odyńca. Zapewno i postrzałki musiały być, ale że to był ostatni miot, a na drugi dzień wyjechaliśmy, więc podjętych dzików było ogółem pięć; piszą że 8 zabito, może zatem później ubite znaleziono. Muszę dodać, że gospodarz przed naszym przyjazdem próbował i zabił trzy dziki.

Dziki w Toporowie są regularnie co dnia karmione w jednem miejscu kukurudzą, grochem, bobikiem i końskiem mięsem. Na drugi dzień po naszem polowaniu były raporty, że do jadła jeszcze tego samego dnia przyszły, tylko później. Bez kwestyi jest to najpiękniejsza dzicza i sarnia knieja w Galicyi, a jednakże i w Toporowie można polować i nie strzelić do dzików. I tak, z sześciu myśliwych był jeden taki, który do strzału nie przyszedł, może właśnie dlatego, że chciano koniecznie żeby strzelił.

Muszę tu wspomnieć o „hochstandzie“, czy ambonie, jak ktoś się wyraził. Tam, gdzie karmią dziki, jest przy drzewie umieszczona platforma wysokości trzech metrów, do której się wchodzi wygodnymi schodami. Tamto zwykle gajowy zasiada i przypatruje się, a nawet stamtąd rzuca kukurydzę dzikom, które tak się oswajają, że ryje wyciągają do góry, aż im się dostanie jedzenie. Hr. Baworowski lubi od czasu do czasu zapolować w ten sposób, i właśnie przed naszym przyjazdem zabił trzy dziki z owej „ambony“. Dziki się tego nie boją i często po strzale wracają do żeru.

Są tam także samotrzaski na psy, ale częściej w nie dziki się łapią; bywały wypadki, że się po trzy łapały.

M. Tyszkiewicz.

Stryj w lutym.

(Sprawozdanie roczne Towarzystwa myśliwskiego „Stryj“).

Towarzystwo nasze rozwija się z każdym rokiem coraz pomyślniej. Liczny już zastęp myśliwych stanowi jego grono, wśród którego znajdują się prawie wszyscy myśliwi miasta Stryja i kilku obywateli ziemskich z okolicy. Ostatnia ta okoliczność, t. j. że do naszego Towarzystwa przystępują obywatele ziemscy, jest bardzo pocieszająca i rokuje dla Towarzystwa świetne nadzieje, gdyż Towarzystwo myśliwskie, z natury swej działające na wsi, w lasach i na polach, potrzebuje koniecznie czynnej i energicznej pomocy właścicieli obszarów dworskich, jako bardzo skutecznych propagatorów celów i dążeń Towarzystwa. A że nowi członkowie Towarzystwa są przytem dzielni i znani myśliwi, posiadający i własne knieje, słynne z ilości zwierzyny, więc nabytkiem owym może się Towarzystwo rzeczywiście cieszyć i szczycić.

Obszar dzierżawiony przez Towarzystwo w ubiegłym roku powiększył się o 2 knieje dworskie, a mianowicie o Dzieduszyce małe i lasy miasta Stryja. Knieje te posiadają już teraz zwierzostan wcale dobry. Do luźnych polowań przybyły nam jeszcze 2 obszary t. j. obszar dworski miasta Stryja i obszar gminny Pietniczany — natomiast pozbyło się Towarzystwo rewirów górskich gminnych, mianowicie Synowódzka wyżnego, niżnego, Międzybrodzia i Lubieniec, jako nie nadających się do celów Towarzystwa już to z powodu dość wielkiej odległości rewirów od Stryja — już to z powodu trudnej gospodarki łowieckiej w górach.

Wydział Towarzystwa urządził w ubiegłym roku 20 polowań gremialnych, odbytych przeważnie w niedziele, na których padła następująca ilość zwierzyny: 1 dzik, 16 rogaczy, 47 lisów, 59 zajęcy, 7 jarząbków, 3 słonki, 1 cietrzew, 1 pies, 1 kot, 1 sowa i 5 jastrzębi. Strzałów padło ogółem 402 na 142 sztuk ubitej zwierzyny. W porównaniu z rokiem poprzednim, postęp jest widoczny, tem bardziej, że tegoroczne polowania odbywały się przeważnie w małem gronie myśliwych, bo przeciętnie w 6—8 strzelb. Sądząc po zwierzynie, znajdującej się w miotach spolowanych, słusznie przypuszczaćby należało, że przy gęstszej obsadzie stanowisk, mogła śmiało dwa razy tak wielka ilość zwierzyny ubitej figurować w naszym wykazie statystycznym.

Polowania te w małem gronie dzielnych i prawdziwych myśliwych, których nie odstraszała ani zawierucha śnieżna, ani też mróz kawalerski, były bardzo miłą rozrywką przez cały sezon polowań, to też pozostawiły po sobie bardzo przyjemne wspomnienia w pamięci naszej drużyny myśliwskiej. Bo też knieje nasze, choć jeszcze w zwierzostan dosyć ubogie, mogą zająć swą rozmaitością każdego prawdziwego myśliwego, któremu nie o ilość lecz o jakość strzału chodzi.

Rok ubiegły obfitował szczególniej w lisy. Jakkolwiek okolica stryjska z dawien dawna słynie z gęstego zaludnienia jej obszarów przez ród mykici, to przecież tak wielkiej ilości jak w tym roku, dawno nie pamiętają myśliwi. Prawie w każdym miocie mieliśmy ich po kilka — częste były dublety do nich, jakkolwiek nie zawsze trafne, to też dosyć znaczna ich ilość dekorowała nam nasze rozkłady. W jednej nie dużej kniei w Królewszczyźnie padło ich na jednem polowaniu 13 sztuk.

Stan zajęcy polepsza się z każdym rokiem, każda knieja prawie w roku tym, ogólnie znanym jako ubogim w zające, wykazała większą ich ilość.

Stan sarn wcale nie zły, choć je tylko w 3 rewirach mamy. Przy ciągłem szanowaniu i dosyć ostrych naszych przepisach myśliwskich, mamy nadzieję, że ich się w przyszłym roku znacznie więcej dochowamy.

Luźne polowania wykazały w tym roku również niezły stan zwierzyny. Jakkolwiek sportowi temu oddaje się zaledwie 10—12 myśliwych, to przecież padło ogólnie około 15 kaczek, około 25 dubeltów, 50 kszyków, 100 chruścieli, 80 przepiórek, 15 zajęcy. Niestety w wykazie tym brak kuropatw, bo tylko w 2 rewirach je mamy; jest ich tak mała ilość, że tylko z raportów straży wiemy o tem, że istnieją — do strzału na nie nikt w tym roku nie przyszedł.

Ogólny pogląd na sezon ubiegły i rezultaty polowań w porównaniu z rokiem poprzednim dają nam to przeświadczenie, że praca nasza na marne nie idzie i że postęp, jakkolwiek mały, stanowczo istnieje — zwierzostan w okolicy stryjskiej wzrasta wszędzie, gdzie tylko straż nasza myśliwska funkcyonuje. Daj Boże, by co roku tak było, a wówczas knieje i pola nasze, do niedawna jeszcze w zwierzynę tak ubogie, że obszary milowe można było przejść ze strzelbą i ani jednego zająca nie spotkać, będą mogły rywalizować z innymi, lepiej i dłużej zaszanowanymi rewirami.

B. W.

Sprawozdania łowieckie.

— W Kątach i w Raźniowie, u p. Władysława Gniewosza skończyliśmy d. 30. i 31. stycznia polowanie zajęcze. Śliczny tam stan zwierzyny. W dwóch dniach padło 22 rogacze, 3 dziki, 10 lisów i 80 zajęcy. Polowaliśmy w kilkanaście strzelb i to dobrych, ale pora szkaradna — pierwszego dnia okropny wicher (przepowiedziany przez Falba)—zwierz się roił, ale razem z liściem, gałęziami a nawet i drzewami połamanymi. Już to ci, co byli na tem polowaniu, mogą się śmiało nazwać myśliwymi.

Polowanie w Kątach prowadził sam gospodarz, doskonale, szybko; od granicy były na kilka kilometrów rzucone sieci, pomimo tego dziki uszły w Toporowskie lasy. Do sześciu dzików strzelano, ale bez skutku.

— W Toporowie u hr. Władysława Baworowskiego odbyło się w dniach 18., 19. i 20. lutego polowanie w dziewięć strzelb. Strzałów dano 107 i ubito dzików 25, rogaczy 17, 2 lisy i cietrzewia. Padły 2 odyńce, 6 dużych macior a reszta większe i mniejsze warchlaki. Pogoda dopisała. Ponowę mieliśmy przez dwa dni; to też dziki były otropione i nie doznaliśmy nigdy zawodu.

Straż leśna znakomicie jest zorganizowana, a nadleśniczy p. Werderman jest mistrzem w prowadzeniu polowania. Bierzemy np. pierwszy miot, gdzie były trzy stada obcięte; padły 3 dziki, jedno stado przebiło się przez nagonkę — nagonka zachodzi drugi miot, a my siadamy na sanie i galopem pędzimy z pół mili. Z sani prędko nas p. nadleśniczy rozstawia i sam z kilkoma furmanami nagania nam stado dzików, ruszywszy je strzałem z barłogu; w pięć minut padło 3 dziki. Siedliśmy znowu na sanie i ledwie nagonka zaszła, już byliśmy na stanowiskach. Mila drogi, wzięcie miotu (wprawdzie małego), zabicie maciory i dwóch warchlaków nie trwało godziny.

Muszę przyznać, że strzelano znakomicie, bo też wszyscy prawie byli wytrawni i dobrzy myśliwi. Gospodarz zabił pięć dzików, hr. St. Gołuchowski zrobił dubletę: maciorę i warchlaka, przytem na wysokim lesie na tiro zabił cietrzewia, hr. St. Dzieduszycki położył 4 dziki, hr. L. Starzeński pięć dzików. Ja zabiłem dwie maciory i trzy warchlaki, pan Edward Oczosalski maciorę, hr. Alfred Borkowski 2 dziki, pan dyrektor 1 dzika. Więc dziki toporowskie rozpędzone — poszły do sąsiadów robić szkody. Jednakże w Bogu nadzieja, że powrócą i na przyszły rok zrobią nam taką samą przyjemność, jak w tym zrobiły.

— W Kutkorzu, u hr. Weroniki Łączyńskiej, polowaliśmy w d. 28 i 29 stycznia w 9 strzelb. Zabito 9 rogaczy, 3 lisy i 117 zajęcy. Lecz pudłowaliśmy dosyć, bośmy dali czterystakilkadziesiąt strzałów.

Pierwszego dnia wzięliśmy 13 miotów, a niektórzy myśliwi mieli tak ogromne spotkania, że musieli ładunków od sąsiadów pożyczać. Królem polowania był młody p. Bohdan; zabił 3 rogacze i 18 zajęcy. Bardzo mi miło było widzieć tak młodego, a już wytrawnego myśliwego i dobrego strzelca Muszę tu dodać, że stan zwierzyny w Kutkorzu znacznie się poprawił. Strzelano pewnie do 30-u rogaczy, ale ranionego (chwała Bogu!) prawie nie było.

— W Korsowie u p. B. Horodyńskiego zabito we dwa dni, w sześć strzelb, 7 rogaczy, 3 lisy i pięćdziesiąt kilka zajęcy. Zwierzyniec, tak nazwana „Pasieka“, był już brany zupełnym zmrokiem. Zające, sarny i lisy roiły się, padło mało. Do sarn zupełnie nie strzelano.

Delegat *M. Tyszkiewicz.*

— W Jaryczowie Nowym, majętności p. Waleryana Krzeczunowicza, polowano dnia 23. stycznia b. r. w 13 strzelb. Na 82 danych strzałów padło 13 rogaczy, 1 lis i 27 zajęcy. *W. C.*

— W Dunajowie tegoroczny wynik łowów Towarzystwa myśliwych należy do mało pomyślnych. Towarzyszy stałych przybyło tylko 5-ciu i 2-ch gości. Polowano w 7 strzelb 25., 26. i 27. stycznia i ubito 3 rogacze, 2 lisy i 40 zajęcy. Dzików nic było wcale. *W. C.*

— W Kolendzianach, u p. Kornela Horodyskiego, polowano 20. i 21. stycznia. Rezultat polowania: 5 dzików, 2 lisy i 150 zajęcy.

— W Uniżu polowano w 10 strzelb u p. Władysława Przybysławskiego 25., 26. i 27. stycznia. Padło 10 dzików, 7 lisów, 3 kozły i 36 zajęcy, do których pierwszego dnia nie strzelano.

— W Hryniawie, własności bar. Pauliny Brunickiej, (właściciel polowania Julian Puzyna), polowano w dniu 9. stycznia i ubito 33 zające.

— W Chocimierzu, własności Wnej Olgi Jełowickiej, na polowaniu, odbytem 11. stycznia, padło 8 rogaczy, 3 lisy i 56 zajęcy.

— W Bortnikach, własności p. Emila Jahna (właściciel polowania Wny Tomasz Szymanowski), na polowaniu odbytem w dniu 19 i 20 stycznia, padło 6 rogaczy; 7 lisów i 145 zajęcy.

— W Kalińcach, własności Wgo Stanisława Bykowskiego, (właściciel polowania Julian Puzyna), polowano w dniu 22. stycznia i ubito: 1 rogacza i 22 zające.

Delegat *Julian Puzyna.*

— W Strychańcach, u pana Adama Pieńczykowskiego, odbyło się polowanie w sześć strzelb, w dniach 29. i 30. stycznia. Jakkolwiek niespodziewana odwilż i deszcz nie sprzyjały nam drugiego dnia łowów i musiały niekorzystnie wpłynąć na rezultat polowania, pomimo tego mieliśmy na rozkładzie 2 rogacze i 56 zajęcy; dodać jednak muszę, że w ogóle strzelano słabo, a kilka dzików, rogaczy i wiele zajęcy uszło, bądź to nie strzelanych dla małej ilości myśliwych, bądź też chybionych.

Stan zwierzyny w rewirach Strychanieckich, szczególniej zaś stan sarn i zajęcy, jest świetny, za co prawdziwe uznanie należy się młodemu gospodarzowi, który, będąc widocznie miłośnikiem łowiectwa, dokłada starań, by polowania w Strychańcach zawsze jednakiem cieszyły się powodzeniem. Polowanie prowadzonem było wzorowo przez samego gospodarza, którego uprzejmość i serdeczna gościnność wszystkim miłe zostawiła wspomnienie i cieszyć się kazała nadzieją, że w przyszłym sezonie myśliwskim niejedną jeszcze przyjemną chwilę spędzić będą mogli w tyle dla myśliwego uroku mających Strychanieckich kniejach.

Marceli Bogdanowicz.

— W Rożwienicy u p. Władysława Górskiego, odbyło się w dniu 23. stycznia polowanie w dwanaście strzelb, na którem zabito 10 rogaczy, 30 zajęcy i lisa. Polowanie w tej kniei jest prawdziwą rozkoszą dla myśliwego, gdyż nietylko mnogość sarn (które mają wszędzie pozakładaną obfitą paszę) elektryzuje każdego i bawi oko, ale sam las przeważnie dębowy, zaszanowany, z pięknym drzewostanem, i wzorowo prowadzone kultury, robią na każdym myśliwym przyrodniku bardzo miłe wrażenie. Sprężyste i szybkie prowadzenie polowania przez samego gospodarza, jego uprzejmość i gościnność, czynią ten dzień u każdego z uczestników polowania najmilszem wspomnieniem. Stosunkowo małą ilość zajęcy tem tłomaczę, że sarny, nieustannie ruszając się po

lesie, wypłaszają szaraki, miłujące przedewszystkiem spokój; gdyż i lisów jest tutaj bardzo mało, zastaliśmy bowiem tylko trzy, z których jeden padł, zaś dwa zawdzięczają ocalenie swej skóry patronom, robionym przez młodą żonę jednego z myśliwych. Rabusiom udało się umknąć zdrowo, lecz kilku rogaczom strzelanym przez tegoż myśliwego takimi patronami, szczęście mniej sprzyjało, gdyż wszystkie padły od... strzałów sąsiadów — skąd przestroga dla młodych żonkosiów. *W. P.*

— W Karowie u p. K. Marmorosza odbyło się w połowie stycznia polowanie w 18 strzelb. Padło sztuk 97, a mianowicie: 5 kozłów, 4 lisy, 4 jarząbki, i 84 zajęcy. Mała stosunkowo ilość zabitych kozłów, przy pięknym stanie sarn w tamtejszych kniejach, da się wytłumaczyć tem, że jeżdżąc dla braku sanny wozami, ostrzegaliśmy sarenki o niebezpieczeństwie, jakie im grozi, a te, ze znanym sobie sprytem, wymykały flankami lub uderzały na nagonkę. W jednym z miotów złowiła nagonka kozła żywcem; puściliśmy go na łączce wśród lasu, żegnając: „Do widzenia w roku przyszłym!“ Nie namyślając się, pomknął koziołek w pięknych skokach i znikł nam wkrótce wśród przyległych gąszczy, by towarzyszkom i towarzyszom opowiedzieć, ile on to strachu przebył, widząc tyle trzylufków, lecz oraz uspokoić, że to nie kucharze na mięso, lecz myśliwi polują. Z dzikami spotkać nie mogliśmy się dla niemożebności wytropienia. Rok ten widocznie bardzo sprzyjający dla cietrzewi, bo widzieliśmy ich bardzo wiele. W miocie niskopiennym, zwanym „Za Marcinem“, widziałem w jednym stadzie co najmniej 40 kur cietrzewi. które po nad p. S. T. ciągnęły. Opisywanie gościnności gospodarstwa, chociaż by było o czem napisać, zostawię na boku, przesełam tylko „Bóg zapłać“ za przeszłe, a prosząc o przyszłe. *F. M.*

— W lasach Janowskich koło Trembowli, na polowaniu u Jerzego hr. Dunina Borkowskiego, ubito na 711 strzałów, 245 zajęcy, 9 lisów i 8 rogaczy, niemniej też silnie postrzelono 4 dziki, które z powodu spóźnionej pory tegoż dnia dalej ścigane być nie mogły. Polowanie odbyło się tylko w dwóch rewirach, a dwa rewiry, w których przeważnie znajdują się sarny, pozostały nieruszone. *Z. R*

— U p. Antoniego Szadbeja polowano d. 27. stycznia w 6 strzelb i ubito 3 kozły, 24 zajęcy i 2 lisy.

— W Majdanie Górnym, u pp. Grossów. polowano w dniach 30. i 31. stycznia i ubito 9 kozłów, 8 lisów i 7 zajęcy. O ile się stan sarn w naszych stronach podniósł, dowodem obie te knieje. Przed kilku laty w Bohorodczyźnie sarnę mało kto widział, zaś w Majdanie Górnym mimo, iż to już knieja jedna z większych, trudno było i za tydzień parę rogaczy znaleźć. Zajęcy mało, raz, że to gruba knieja, a powtóre z powodu wielkiej ilości lisów; nie wątpię atoli, iż w kilku latach i zajączków więcej będzie, o ile w takiej kniei być może. *G. Głuchowski.*

— W Czupernosach, u p. Aleksandra Wybranowskiego. odbyło się polowanie w 7 strzelb dnia 28. stycznia. Padły 4 kozły, 20 zajęcy i lis.

— W Łańcucie, ordynacyi hr. Romana Potockiego, a względnie na polach skarbowych i polach gminnych, w obrębie rejonu łowieckiego położonych, ubito w 1891 r. zwierzyny pożytecznej: rogaczy 13 (w remizach). zajęcy 194, bażantów 14, kuropatw 39, przepiórek 105, chruścieli 36, słonek 2, dubeltów 3, kszyków 22 i kaczek 6; zwierzyny szkodliwej zaś: lisów 39, psów 35, kotow 146, łasic 23, tchórz 1, jastrzębi gołębiarzy 67, krogulców 83, wron i srok 1317 i kruków 2.

Powyżej wykazane cyfry a w szczególności ubitej pożytecznej zwierzyny, nie odpowiadają może nadziejom i staraniu się, jakie tu przedsiębrano w celu podwyższenia stanu tejże, lecz niestety, co przez ostatnie tak ciężkie zimy nie wyginęło, to wiosną woda w skutek niepamiętnego wylewu Wisłoka wytopiła i zabrała, a latem znów nawałnice połączone z gradem, drugi a nawet trzeci płód zajęcy, kuropatw i innej zwierzyny wytłukły i zniszczyły. *W. L.*

Z Królestwa polskiego.

— W dobrach Prażka, własności hr. Aug. Stanisława Potockiego, odbyło się d. 27. i 28. stycznia polowanie w dwanaście strzelb, na którem padło: 6 kozłów, 300 zajęcy i 2 lisy. W drugiem dniu polowania nie sprzyjała myśliwym pogoda.

— W Bielicach (pow. sochaczewski) u ks. Pawła Woronieckiego polowano d. 21. stycznia w ośm strzelb i ubito 70 zajęcy.

— W Chylinie, u p. Józefa Łaszczyńskiego, odbyło się d. 22. stycznia w 9 strzelb polowanie, na którem padł 1 dzik, 1 kozioł, 24 zające i 2 lisy.

— W Skępem (pow. lipnicki) u pp. Zielińskich na polowaniu w dziesięć strzelb ubito około 400 zajęcy, 11 rogaczy, 3 lisy i kunę leśną.

— W Łoniowie, w Sandomierskiem, u hr. Jerzego Moszyńskiego, polowano w dniach 18. i 19. stycznia w 13 strzelb i ubito 2 kozły, 130 zajęcy i 4 lisy.

— W Wyszkowie nad Bugiem ubito na polowaniu w ośm strzelb 1 dzika, 1 rogacza, 1 lisa i 22 zające.

— W Grzymiszewie, u p. Ludomiła Puławskiego, odbyło się d. 18. stycznia polowanie w jedenaście strzelb, na którem ubito 2 dziki, 1 kozła, 1 lisa i 38 zajęcy.

— W Brudzewie, w powiecie kaliskim, u p. Arnolda Białobrzeskiego polowano w trzydzieści strzelb i położono 4 kozły, 270 zajęcy i 1 lisa.

— W Walewicach, w powiecie łowickim, na polowaniu, urządzonem w dziesięć strzelb. ubito 20 kozłów, 60 zajęcy i 3 lisy. Jest to niezwykła liczba rogaczy jak na Królestwo, w ogóle w sarny ubogie.

— W Ruchnie, w powiecie łukowskim, u hr. Stanisława Łubieńskiego, padło 6 kozłów, 100 zajęcy i 4 lisy.

— W lasach dóbr Kirsna-Ostrów (powiat kalwaryjski) własności p. Włodzimierza Gawrońskiego, polowano w dniach 15., 16. i 18. stycz. w pięć strzelb i ubito 95 zajęcy i 5 lisów.

Pomimo staranności gospodarza, który sam jest zamiłowanym myśliwym, wynik łowów niezbyt świetny, ale trudno o lepszy, skoro w całej tutejszej okolicy, nawet na większych obszarach, kwitnie w najlepsze myśliwstwo rabunkowe i bije się bez względu na porę ochronną wszystko, co pod lufę wpadnie.

— W Sielcu pod Berezą, u p. Zygmunta Golcza, na polowaniu dwudniowem, pomimo niezwykłej zawierzuchy, utrudniającej polowanie, ubito 5 łosiów (byków) i 2 dziki.

— W Hrubieszowskiem, w lasach należących do dóbr Lipowiec i Turkowice, w skutek pojawienia się wilków, które podchodząc pod wsie, wyrządzały włościanom szkody, urządzono urzędową obławę. Skutek obławy był taki, jakim zazwyczaj bywa skutek polowania oficyalnego. prowadzonego z wielkim hałasem, ale bez myśliwskiego znawstwa i ładu. Strzelców zebrało się przeszło 130, nagonki 600 i... nie ubito ani jednego wilka, bo te, wypłoszone przedwczesnym hałasem. uszły do sąsiednich lasów, ale zato padły 3 dziki, 5 sarn i 28 zajęcy.

Zwierzyna ubita w rewirach Lisowickich w okresie myśliwskim roku 1891/2.

Jesień	Mioty	Niedźwiedź	Ryś	Żbik	Dzik	Lis	Rogacz	Zając	Cietrzew	Jarząbek	Słonka	Sowa	Jastrząb	Sztuk	Strzałów
12. paźdz. 1891	Grabniki itd.	1	.	.	.	9	.	1	1	1	2	2	1	18	31*
13. „	Dmytrowa „	1	1	.	.	4	1	1	.	3	2	.	.	13	30
14. „	Dąbrowa „	.	.	.	.	8	.	4	1	5	1	4	1	24	56
15. „	Seredne „	.	.	.	2	1	.	3	.	5	1	.	.	12	23
16. „	Parady „	.	.	.	.	18	3	9	1	6	9	1	1	48	122
17. „	Taniawa „	.	.	.	3	1	1	3	.	8	3	.	1	20	51
18. „	Krzaki gminne	.	.	.	.	.	.	.	.	.	1	.	.	1	3
19. „	Bolechów „	.	.	.	.	1	2	6	1	2	14	2	.	28	70
20. „	Grabniki	.	.	.	.	4	2	2	.	3	3	.	.	14	38
21. „	Dubowa	.	2	1	.	6	1	4	.	3	3	2	.	22	44
22. „	Piła	.	.	.	.	9	1	10	.	.	12	1	1	34	79
	Razem	2	3	1	5	61	11	43	4	36	51	12	5	234	547
Zima															
25. stycznia 1892	Świerczyna itd.	.	.	.	1	2	8	10	.	.	.	2	.	23	58
26. „	Taniawa „	.	.	.	10	.	2	4	.	2	.	1	.	19	38
27. „	Piła „	.	.	.	1	4	10	5	.	1	.	.	.	21	36
28. „	Seredne „	,	1	.	.	.	.	2	.	1	.	.	.	4	9
29. „	Jedlina „	.	.	.	.	6	.	5	.	5	.	.	.	16	28
30. „	Świerczyna „	.	.	.	1	.	.	6	.	2	.	.	.	9	15
	Razem	.	1	.	13	12	20	32	.	11	.	3	.	92	185
	Ogółem	2	4	1	18	73	31	75	4	47	51	15	5	326	732

*) Służba ubiła 2 kuny.

KRONIKA.

Do galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego przystąpili następujący nowi członkowie:

Aulich Albert.
Augustynowicz Zygmunt.
Barącz Tadeusz.
Hr. Bobrowski Stanisław.
Br. Brunicki Konstanty.
Cybulski Juliusz.
Dancewicz Feliks.
Garapich Antoni.
Gnoiński Jan.
Dr. Groblewski Zygmunt.
Grocholski Roman.
Horodyński Władysław.
Jahna Emil.
Jankowski Kazimierz.
Janko Stefan.
Jędrzejowicz Franciszek.
Jędrzejowicz Ludwik.
Hr. Kalinowski-Jabłonowski Marc.
Karchezy Adam.
Hr. Karwicki Dunin Franciszek.
Kaszowski Aleksander.
Hr. Korytowski Juliusz.
Kownacki Władysław.
Kozłowski Zygmunt.
Kruszyński Józef.
Lipiński Lubin.
Hr. Łączyńska Stefania.
Ładomirski Zdzisław.
Łastawiecki Bronisław.
Łucki Józef.
Hr. Mierowa Felicya.
Mniszek Bolesław.
Marko Dymitr.
Melbechowski Aleksander.
Mochrocki Zygmunt.
Morawski Ludomił.
Hr. Mycielski Stanisław.
Pisztek Franciszek.
Hr. Potocki Karol.
Hr. Potocki Oswald.
Hr. Potocki Aleksander.
Hr. Poniński-Walewski Bronisł.
Pieńczykowski Adam.
Potworowski Seweryn.
Pruszyński Czesław.
Kn. Puzyna Leon.
Ks. Radziwił Michał.
Rokosowski Mieczysław.
Hr. Romer Konstanty.
Hr. Romer Władysław.
Dr. Rapoport Arnold.
Rossowski Michał.
Rotter Bolesław.
Saphir.
Scherantz Leopold.
Scholtysek August.
Sękowski Michał.
Skrzyszewski Maryan.
Starkiewicz Leon.
Stawiarski Walery.
Stoczkiewicz Zdzisław.
Thom Józef.
Trzciński Kazimierz.
Ujejski Roman.
Vivien Jan.
Weissmann-Zawidowski Klemens.
Wiktor Józef.
Wohlfarth Bronisław.
Dr. Wolski Franciszek.
Wasilewski Stanisław.
Hr. Wiśniewski Stanisław.
Zadurowicz Jan.
Zdziarski Bruno.

W poprzednim spisie błędnie wydrukowanym był członek Towarzystwa p. Wartanowicz Grzegorz.

† **Ezechiel Berzeviczy**, b. oficer jazdy wołyńskiej, jeden z najdoświadczeńszych i najbardziej zamiłowanych myśliwych naszych, zmarł d. 18. lutego w Bołszowcach przeżywszy lat 81. Ś. p. Berzeviczy zajmował się żywo do ostatnich czasów sprawami łowiectwa, częstojeszcze ze strzelbą w pole wychodził, a nieraz chwytał za pióro i udzielał pismu naszemu swych spostrzeżeń lub kreślił wspomnienia z dawnych czasów. Gałązkę z lasów ojczystych, które zmarły gorącem sercem kochał, składamy na mogile zacnego obywatela i łowcy pierwszorzędnego.

Stado wilków pojawiło się pod Śniatynem. Dzień przebywają w zaroślach nad Prutem, w nocy zaś rozbiegają się po okolicznych wsiach i robią szkody. W Zawalu zabił chłop w nocy na własnem podwórzu wilka, podejrzanego o wściekliznę.

Muzeum myśliwstwa i rybołowstwa założone zostało świeżo w paryskim ogrodzie aklimatyzacyjnym. Zebrano w nim kolekcyę historyczno-etnograficzną przyrządów, służących do chwytania zwierząt. Oprócz broni i najrozmaitszych narzędzi, znanych z odkryć archeologicznych, znajdują się tam wszelkie przyrządy, używane dzisiaj wśród ludów dzikich i cywilizowanych. Podzielone są one na cztery grupy, obejmujące broń, sieci, pułapki i akcesorya. Przyjęta przez zarząd muzeum klasyfikacya ułatwia porównanie i okazuje, że broń i pułapki używane dzisiaj, znane już były ludziom wieku kamiennego.

Także polowanie. Wielki angielski parowiec „Ethiopia“, płynący z Glasgowa do New-Yorku, spotkał się w drodze swej na pełnem morzu z olbrzymim wielorybem. Było to około południa, a w odległości jakichś 800 mil angielskich od New-Yorku. Kapitan statku, Wilson, pierwszy dostrzegł wynurzającego się z wody wieloryba. Niezwłocznie więc, uprzedziwszy pasażerów, puścił statek całą siłą pary, a więc z szybkością 16 mil na godzinę, w kierunku dostrzeżonego olbrzyma. W krótce statek doznał gwałtownego wstrząśnienia. W całym pędzie „przejechał“ wieloryba, formalnie rozpłatawszy go na dwoje. W jednej chwili fale morskie zabarwiły się na czerwono i ujrzano wypływający na powierzchni trup króla oceanu. Statek nie doznał najmniejszego uszkodzenia. Wszystko ograniczyło się tylko na jednem, choć gwałtownem, lecz nieszkodliwem wstrząśnieniu.

Pojedyncze numera „Łowca“ nabyć można po cenie 50 ct. w. a. za numer w handlu broni p. Alfreda Dzikowskiego we Lwowie ulica Karola Ludwika L. 1.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** plac Halicki 10.

TREŚĆ: Władysław Spausta: „Z łowieckiej przeszłości“. — St.: „Kłusownik“ — L. Starzeński: „Duet z moim Hektorem“. — Seweryn Kisielewski: „Polowanie z wyżłem na ptaki“. — Korespondencye: „Dzicza knieja“. — „Sprawozdanie roczne Towarzystwa myśliwskiego Stryj“. — „Sprawozdania łowieckie“. — „Kronika“.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.